Nr. 35 (472). Cena 1 zł. W Czechosłowacji 3·50 Kc. 26 sierpnia 1933. Nal. poczt. opł. gotówką. Numer zawiera 32 stron. Rok X.

ŚWIATOWID



NA POLSKIEM MORZU

FOT. JERZ
SOLAK, LWO



Dnia 14 b. m. powrócił do Warszawy z wywczasów w Pikiliszkach Marszałek Piłsudski. Na zdjęciu Marszałek przyjmujący na dworcu głównym raport od płk. Wartha, szefa biura Inspekcji. Fot. „Światowid".

POWRÓT MARSZAŁKA Z PIKILISZEK

W tych dniach powrócił z Pikiliszek do Warszawy Marsz. Piłsudski. Oznacza to rozpoczęcie nowego sezonu politycznego po przerwie wakacyjnej. Pobyt w Pikiliszkach spędził Marsz. Piłsudski w zupełnem osamotnieniu, odbywając wycieczki po parku. Czasem tylko zaglądnął ktoś z dygnitarzy państwowych do tego odludzia, aby zreferować ważną sprawę i znowu cisza zalegała w Pikiliszkach.

Wileńszczyzna jest ziemią rodzinną Marsz. Piłsudskiego, nic więc dziwnego, że ciągnie go ona ku sobie i że wydaje mu się najstrojniejszą i najpiękniejszą. Kołyszą się tam nad jego siwą głową



Dwór w Pikiliszkach na Litwie, gdzie Marszałek Piłsudski przebywał na wywczasach. Fot. Bułhak — Wilno.



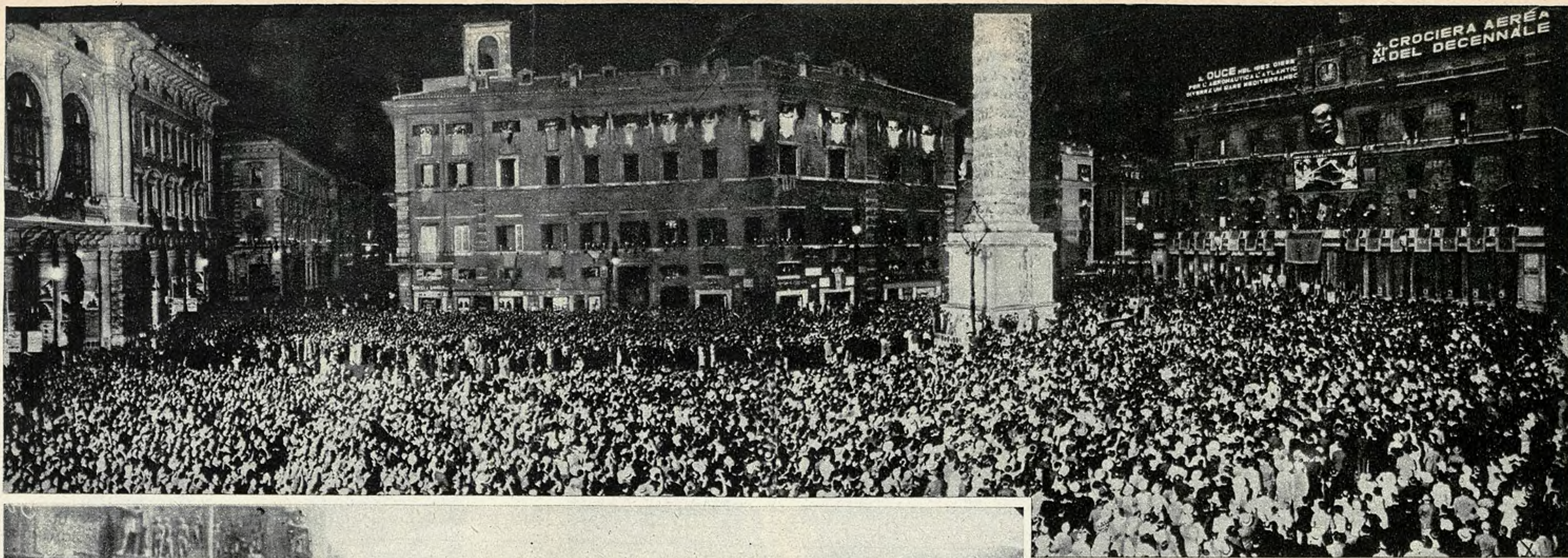
W pobliżu dworu w Pikiliszkach.

tysiącletnie dęby, kładą się u jego stóp fale szmaragdowych jezior i żółtych piasków, witają go sosnowe lasy, szlacheckie zaścianki i Wilja, strumieni rodzica.

Urok tej ziemi potęguje lud dorodny i taki jakiś patrjarchalny, jakby wcieliło się w nim całe dostojeństwo chłopskie. Mowa tego ludu jest śpiewna, ze serca płynie i do serca trafia.

Nie jest to żadnym przypadkiem, że największy poeta polski Adam Mickiewicz pochodził z Wileńszczyzny. Tu bowiem poezja unosi się w powietrzu, promieniuje od gajów i ruczajów, przenika całe życie i „zaraża" sobą, nawet najmniej wrażliwych.

Z tą ziemią był sam na sam Marsz. Piłsudski przez kilka tygodni. Z nią rozmawiał, jej się dotknął. I teraz z nowym zapasem sił wrócił do stolicy, do swojego Belwederu.




Marszałek Balbo, maszerujący na czele swoich zuchów obok Colosseum w Rzymie.

Nieprzeliczone tłumy, wiwatujące na cześć Balbo na Piazza Colonna w Rzymie.

EVIVA BALBO!

Powitanie włoskich lotników oceanicznych, którzy pod dowództwem gen. Balbo odbyli gigantyczny lot z Rzymu przez Islandję do Chicago i z powrotem przez Azory, nosiło cechy żywiołowej manifestacji narodowej, w której wzięło udział kilkaset tysięcy ludzi z rządem i Mussolinim na czele. Wszyscy uczestnicy lotu otrzymali odznaczenia, a gen. Balbo został zamianowany marszałkiem lotnictwa. Wieczorem cały Rzym płonął w ogniach sztucznych, orkiestry grały na placach publicznych, a ludzie szaleli z radości.

BRUNO WINAWER.

BARWNE MOTYLE i NAJWIĘKSZA WOJNA.

W porze wakacyjnej najsolidniejszy mieszczuch przypomina sobie nagle, że pochodzi w prostej linji od jaskiniowców, że daleoy jego przodkowie gryźli korzenie, pływali, łazili po drzewach, rzucali oszczepem, ścigali się z wilkiem i brali przeszkody z rozpędu. Chciałby się wyszumieć, wytarzać na łonie natury, pobiegać, poskakać, głowę zanurzyć w wodzie.

Te igraszki — w formie nieco zmienionej — przetrwały do dziśdnia. Tłumy na boiskach podziwiają lepsze skoki o tyczce i rekordy pływackie. Ale — jak słusznie zaznacza jedno z poczytniejszych pism zagranicznych — repertuar naszych rozgrywek jest właściwie dość monotonny. Kopiemy piłkę skórzaną, odbijamy rakietą piłkę gumową, albo walimy zakrzywionym kijkiem golfowym w piłkę drewnianą.

W kinach podziwiać można szaloną jazdę na „akwaplanach" za łodzią motorową, ale jest to sport trochę kosztowny, choć nowszy.

Rzecz zastanawiająca — nawet dzikusy australijskie wymyśliły genjalny „bumerang", patyk, który wzbija się w powietrze a później — zakreśliwszy wielkie koło — wraca posłusznie do ręki, a my się jakoś w ostatnich czasach nie umiemy zdobyć na pomysł ciekawszy.

Ci i owi radzą, żeby od cow-boy'ów zapożyczyć podrzucanie liny. Zabawa nazywa się dźwięcznie „looporoo" i podobno nawet początkujący — jeżeli tylko trafi na dość elastyczny sznurek — może z niego łatwo zrobić t. zw. „wirującą krynolinę", albo zarzucić lasso na spokojną krowę. Nowy Jork jeździ znów, jak przed laty, na wrotkach, zakłada kluby i urządza turnieje na wrotniskach.

Inni zalecają gorąco skromny rower, który nagle stał się bardzo modny. Fabrykanci mebli stalowych zwrócili uwagę na stary bicykl, poprawili ramy, ulepszyli znacznie siodełko, kierownicę. Rower jest dziś elastyczniejszy, wygodniejszy... Jakiś wynalazca twierdzi, że mocniej nacisnąwszy pedały i wprawiwszy w ruch pewne wirujące tarcze, będziemy nawet mogli frunąć w powietrze na dość znaczną wysokość...

Aparaty turystyczne będą już zresztą wkrótce — jak o tem świadczą prace i próby licznych konstruktorów — o wiele tańsze, dostępniejsze i lada dzień sportowiec wynajmie sobie za niewielką opłatą aeroplan na niedzielę, jak dawniej wynajmował konia wierzchowego w tattersalu...

Kto wie, czy te ciągłe troski o nasze rozrywki nie są trochę przesadne i zbyteczne. Latem, w słońcu, trafiamy jakoś sami na rzeczy zajmujące. Ileśmy się to za lat dziecinnych nabiegali po łąkach i miedzach w pogoni za motylami, konikami polnemi, pannami wodnemi, żukami, chrząszczami... I teraz dopiero okazuje się, żeśmy się tu natknęli na złotą żyłę, na kopalnię faktów zdumiewających! W gazetach czytamy raz po raz o ciekawem najściu ważek na Garwolin, o chmurach barwnych motyli, które się wybierają — niewiadomo czemu — z Francji przez Kanał do Anglji (migracja), albo o pochodach zwycięskich groźnej szarańczy.

Uczeni i badacze znaleźli oddawna w maleńkich insektach i stawonogach ów „atom inteligencji"", który im pozwala studjować — jak na świetnym modelu — instynkty socjalne, zdolności nabyte i odziedziczone, epidemje psychiczne, prawa, teorję ewolucji i tysiące innych zagadnień welkieij wag.

Powieściopisarze i poeci piszą duże księgi o obyczajach mrówek, pszczół, termitów. Niema prawie numeru pisma przyrodniczego, w którymby się ktoś nie dzielił z czytelnikami ciekawemi obserwacjami. Razu pewnego, jakiś badacz-amator dostrzegł na powierzchni wody niewielkiego pająka. Przyjrzał mu się baczniej — nie ulegało żadnej wątpliwości! Pająk pływał na listku i łowił rybki — chwycił nawet właśnie małego kiełbika, ogłuszył celnem ukąszeniem i miał zamiar pożreć, co się zresztą u pająków odbywa w sposób również niezwykle oryginalny. Ten fakt — jak się okazało — nie jest odosobniony, podobne napady pająków spostrzeżono również w pewnem akwarjum amerykańskiem...

W książkach Fabre'a, Flingstona i innych znajdujemy jeszcze ciekawsze relacje o osach czy żukach, ubijających ziemię kamykiem, o budowie gniazd, o fortelach, o wędrówkach i przemarszach mrówek legjonistek, o tem, jak przepływają rzeki, atakują wroga i rozstawiają straże.

W czasach ostatnich uważniejsi badacze dostrzegli rzecz, dla nas jeszcze bardziej zajmującą: owady są doprawdy groźne! I nietylko w tym stopniu, jak to sobie zazwyczaj wyobrażamy. Niektóre artykuły w czasopismach mają nagłówki alarmujące: „człowiek przegrywa w walce o panowanie nad ziemią".

W bardzo poważnej książce znalazłem kilka cytat ze sprawozdań głośnego Brytyjskiego Instytutu Entomologicznego. Przeszło 10 procent wszystkich naszych zbiorów idzie na marne rok rocznie przez owady. Indje obliczają straty w lasach i na polach w jednym tylko roku sprawozdawczym na 136 miljonów funtów. Owady przenoszą zarazki chorób i stwierdzić można, że w krótkim okresie czasu zabiły w Indjach więcej ludzi, niż lwy, tygrysy, słonie, bo 1,600.000 osób. W Afryce Południowej jeden tylko szkodnik o nazwie Busseola fusoa kosztował rolników i farmerów około trzech miljonów funtów.

W Ameryce, w Anglji, we Francji całe tłumy dzielnych pracowników na stacjach doświadczalnych obmyśla sposoby i fortele wojenne. Uruchomiono samoloty, które rozpylają substancje trujące po lasach, zastosowano krótkie fale radjowe, które podobno są świetną przynętą, lampy kwarcowe. Jedna z badaczek francuskich — panna Goudron — twierdzi, że temi — nowoczesnemi — metodami zgładziła przez tydzień 140 miljonów komarów.

Ale owady są od nas biologicznie starsze, przetrwały najgroźniejsze kataklizmy na ziemi, mają t. zw. „szkielet zewnętrzny", przetrzymują nawet ciężkie obrażenia cielesne, przystosowują się do warunków najgorszych. Uczeni przytaczają jeszcze o wiele dłuższą litanję ich zalet, na które człowiek ułomny patrzeć musi z zazdrością prawdziwą.

Nie ulega kwestji — znaleźliśmy w przyrodzie potężnego, choć niepozornego rywala i przeciwnika. Kpi sobie z naszych haubic, dział szybkostrzelnych, aeroplanów bombowych, tanków, gazów.

Wynik naszej wojny z owadami nie jest jeszcze pewny i przesądzony. W tej walce każda informacja ścisła ma znaczenie doniosłe i dlatego armja ochotników-amatorów, biegających latem po lasach i łąkach, też może oddać usługi poważne.

Niech obserwują poważnie — kto wie, może się przyczynią do zwycięstwa...

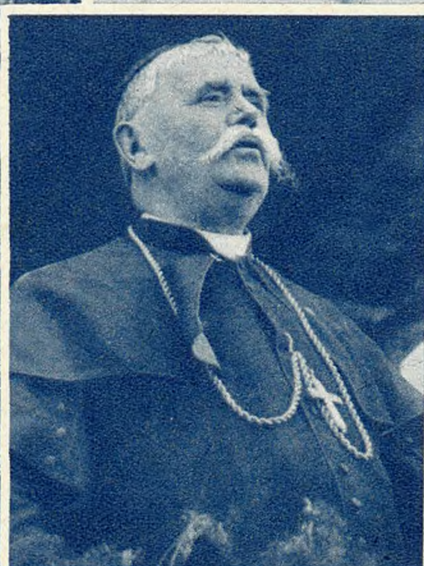
Ks. PRYMAS HLOND W NITRZE.



Zabawy ludowe, jakie odbyły się z okazji uroczystości jubileuszowych w Nitrze na Słowaczyźnie.



Ks. Prymas kard. Hlond, celebrujący Mszę św. w Nitrze.



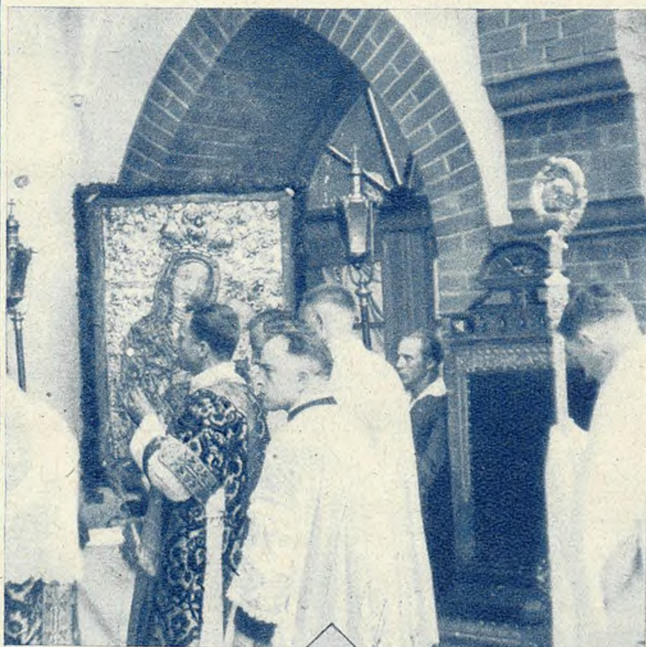
Biskup Misic z Mostaru, wygłaszający kazanie.

W dniach od 12—16 b. m. święciła starożytna Nitra na Słowaczyźnie 1100-lecie poświęcenia pierwszego na ziemiach Słowieńszczyzny zachodniej Kościoła chrześcijańskiego. Działo się to w 833 r. za panowania księcia słowackiego Prybiny. — W kościele tym znajduje się kaplica, zawierająca trumnę ze zwłokami św. Andrzeja Świrada i Benedykta. Polaków, którzy za czasów Bolesława Chrobrego doprowadzili do triumfu wiary chrześcijańskiej na Podhalu.

W uroczystościach tych wzięła udział cała Słowaczyzna. Polskę reprezentował ks. prymas kardynał Hlond.

Wspaniale przedstawiał się pochód historyczny, w których dominowały słowackie stroje ludowe.

PIEKARY KU CZCI SOBIESKIEGO.



Cudowny obraz Matki Boskiej w Piekarach



Delegacja Związku Młodz. Pol. z Kielc w pochodzie.



Poczty sztandarowe przed kościołem w Piekarach.

Sobieski idąc pod Wiedeń na Odsiecz, szedł przez Śląsk szosą Siemianowicką do Bytomia. Zasłyszawszy o cudownym wizerunku Matki Boskiej w Piekarach, postanowił król pomodlić się u Jego stóp i prosić o zwycięstwo. Obrazu już nie było na miejscu, gdyż władze kościelne, obawiając się najazdu tureckiego, ewakuowały go do Opola. Mimo to Sobieski przybył do Piekar. Ślązacy widzieli wtedy po raz pierwszy wojsko polskie (Śląsk należał wówczas do Austrji). U wejścia do kościoła powitali króla Jezuici i wprowadzili go w procesji do wnętrza świątyni. W towarzystwie króla znajdowała się Marysienńka i jego trzej synowie. Król pomodlił się gorąco, wysłuchał Mszy św. i zaraz potem ruszył dalej.

W 250-letnią rocznicę Odsieczy wiedeńskiej i pobytu Sobieskiego na Śląsku, urządzono w Piekarach uroczystości, połączone ze zjazdem młodzieży. W tym dniu przybyło do Piekar około 100.000 pątników. Zaznaczyć należy, że Piekary odgrywają w życiu religijnem taką samą rolę, jak Kalwarja w Małopolsce.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA AGENCJI FOT. „ŚWIATOWID".

KULE POD FAŁSZYWYM ADRESEM.



Olbrzymie wzburzenie wywołała w Anglji tragiczna śmierć panny Chesterton. Znajdowała się ona na łódce na morzu wraz ze swoją siostrą w pobliżu Leysdown, niedaleko wybrzeża. Nagle na horyzoncie ukazała się eskadra hydroplanów wojennych marynarki angielskiej, która właśnie odbywała ćwiczenia. Samoloty te, zoczywszy łódkę, powitały ją salwą z karabinów maszynowych i obrzuciły bombami, zabijając jedną z sióstr na miejscu i raniąc drugą, poczem odleciały. Dopiero później wyjaśniło się, że lotnicy wzięli łódkę za pływającą boję, używaną jako ruchoma tarcza do celowania. Na zdjęciu siostry Chesterton przed wyjazdem na tragiczną wycieczkę. Ta z prawej strony zginęła.

ZGON POSŁA JAPOŃSKIEGO.

W tych dniach zmarł w Otwocku pod Warszawą po dłuższej chorobie piersiowej poseł japoński śp. minister Hirouki Kawai. Przed śmiercią wyraził on życzenie przyjęcia wiary chrześcijańskiej. Sakramentu Chrztu udzielił mu nuncjusz Apost. Mons. Marmaggi.

Żona i dzieci zmarłego posła już dawno przeszły na łono kościoła rzymsko-katolickiego.



Małżonka i dzieci zmarłego w kondukcie żałobnym.



Grono dygnitarzy państwowych, opuszczających kościół św. Krzyża w Warszawie po nabożeństwie żałobnem za śp. ministra Hiroki Kawai. Po lewej w cylindrze premjer Jędrzejewicz w rozmowie z szefem Prot. Dypl. hr. Przeździeckim. Na stopniach minister Pieracki, wicemin. Szembek i marsz. Car.



Ś. p. minister Hirouki Kawai, poseł japoński w Warszawie.

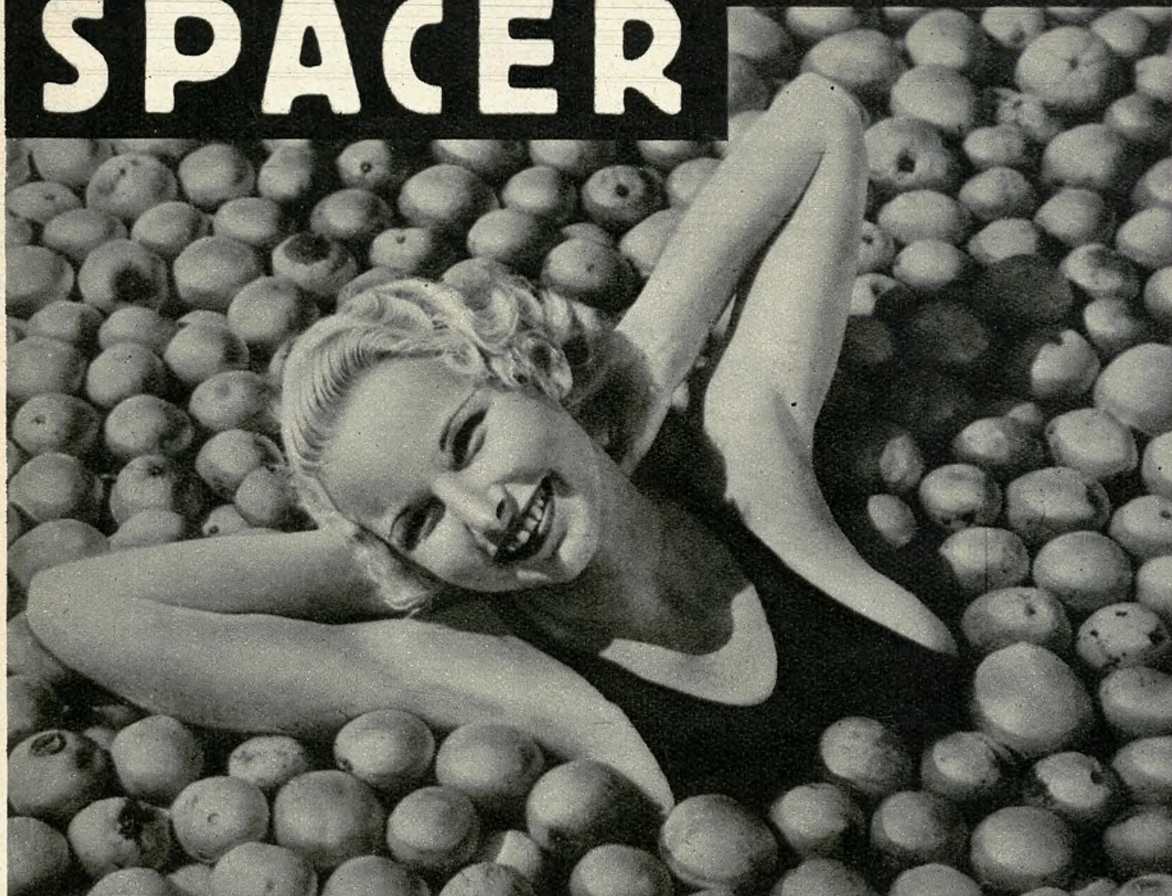
Pogrzeb ś. p. posła Hirouki Kawai odbył się z domu żałoby przy ul. Foksal do kościoła św. Krzyża. Tam premjer Jędrzejewicz udekorował trumnę orderem Polonia Restituta.

Kondukt pogrzebowy otwierały oddziały wojskowe.

Śpij Synu kraju kwitnących wiśni w polskiej ziemi.

Oby Ci ona była lekką!

SPACER



SZCZĘŚLIWY KRAJ. Pomarańcze obrodziły tego roku bardzo w Kalifornji. Będą więc tanie, oczywiście nie w Polsce, gdzie stanowią przedmiot zbytku i niedościgłych marzeń dla każdego człowieka pracy. Na zdjęciu córka króla pomarańczowego, miss Joyce Brooks z Pomona, wypoczywająca w morzu pomarańcz.



Z OBOZU ZBROJNEGO W JAPONJI. W obecności Mikada odbyła się promocja pięciuset kadetów na oficerów. Cesarz przemówił następnie do żołnierzy i wezwał ich do służby ofiarnej dla ojczyzny. Na zdjęciu Mikado wjeżdżający na siwym koniu na podworzec kasarni, obok niego znajdują się szef sztabu głównego i minister wojny.

KAPITAN FONCK.

(Największy bohater powietrzny wojny światowej. — Zestrzelił 126 nieprzyjacielskich aparatów. — Szarża aeroplanów na piechotę niemiecką. — Defilada żywych trupów).



Kapitan Fonck wyrusza na polowanie.

W czasie wielkiej wojny światowej żadne lotnictwo nie mogło się poszczycić takiemi sukcesami, takim zastępem bohaterskich pilotów, jak lotnictwo francuskie. W złotej księdze bohaterstwa i poświęcenia Francja wyryła nazwiska najdzielniejszych, a lista ich jest długa. Niewielu z pośród nich danem było wyjść z życiem ze strasznej zawieruchy i w spokoju spoczywać na laurach. Zginął na polu chwały nieodżałowany Guynemer, najgłośniejszy w pierwszej połowie wojny pilot francuski, zwycięsca w niezliczonych bojach powietrznych. Padł bohaterski Bertin, Dorme, — Nungesser wyszedł coprawda cało z wojny, lecz przepadł w bezmiarach oceanu, chcąc pierwszy sforsować Atlantyk — i wielu innych.

Większość to byli ludzie młodzi, niejednokrotnie poniżej lat dwudziestu, którzy dopiero w czasie wojny po raz pierwszy wsiedli na samolot. Mieli oni jednak jakiś niezwykły wrodzony talent, połączony z niesłychaną zuchwałą odwagą i pogardą śmierci. Każdy był swego rodzaju artystą — tworzył własną taktykę i strategję lotniczą. Każdy miał swój swoisty sposób wojowania, który doprowadzał do niebywałej doskonałości. Ci młodzi chłopcy rwali się do bitwy, wyszukiwali z jakimś zacięciem sportowem najniebezpieczniejsze rekordy. Starali się prześcigać jeden drugiego w odniesionych zwycięstwach — w ilości strąconych samolotów nieprzyjacielskich. Rzucano ich na wszystkie najniebezpieczniejsze odcinki frontu i wiele razy oni to właśnie zadecydowali o zwycięstwie, czy przyczynili się do uniknięcia klęsk. Słynna jest szarża kilkunastu eskadr samolotów w marcu 1918 roku na piechotę niemiecką w czasie przerwania frontu francusko-angielskiego przez dywizje Hindenburga. Szarża ta uratowała lewe skrzydło armji francuskiej.

Najsłynniejszy pilot Francji, ten, który największą ilością zwycięstw poszczycić się może, wyszedł cało z wielkiej wojny. Jest to kapitan Fonck i o nim to właśnie tych kilka słów napisać chcemy.

Oto krótka, lecz jakżeż wymowna lista jego wyczynów: ponad 300 bitew powietrznych. Około 200 zwycięstw — 126 samolotów nieprzyjacielskich strąconych. Z tego sześć w jednym dniu. Otrzymał on niemal wszystkie najwyższe ordery aż do Komandorji Legji Honorowej włącznie. 28 pochwał w rozkazach armji. Do końca wojny pozostał niezwyciężony. Ten młody, 20-letni chłopak rodem z małej wioski u stóp Wogezów położonej, przed wojną nie miał nic wspólnego z lotnictwem. Wstąpiwszy jako ochotnik, w 14-tym roku do wojska, został początkowo przydzielony do saperów i dopiero w lutym 1915 r. na jego własną prośbę przenoszą go do szkoły pilotów w Saint Cyr. W parę miesięcy później już był na froncie, początkowo w eskadrze wywiadowczej, następnie w eskadrze myśliwskiej. I tu dopiero rozwinęły się w pełni jego zdolności lotnika. Poczuł się odrazu w swoim żywiole. Od świtu do nocy nie zmęczony krążył na myśliwskim aparacie na olbrzymich wysokościach, nieraz powyżej 6.000 m., jak orzeł, wypatrując zdobyczy. Gdy tylko zoczył samolot nieprzyjacielski spadał nań zgóry jak piorun, zbliżał się na odległość kilkudziesięciu metrów — jeden ułamek sekundy — krótka, nigdy nie chybiająca celu salwa karabinu maszynowego i aparat nieprzyjacielski w płomieniach leciał na ziemię.

Na opisanie wszystkich jego wyczynów potrzebaby grubej książki. Podamy więc tu tylko jeden epizod z tych jego walk, dzień największego triumfu, w którym w ciągu trzech godzin odniósł sześć zwycięstw i strącił sześć samolotów niemieckich. Wiadomości te czerpiemy z własnych pamiętników Foncka, napisanych zwięźle, prosto, bez cienia samochwalstwa.

Dzień 9 maja 1918 r. — opowiada Fonck — był dniem największego mojego zwycięstwa. Oddawna marzyłem, by móc w jednej bitwie strącić choć trzy samoloty nieprzyjacielskie. Chciałem w ten sposób pobić rekord Guynemera. Marzenia moje ziściły się ponad wszelkie przewidywania.

Wystartowałem gdzieś dopiero koło godziny drugiej w południe, gdyż ranek był mglisty.



Epizod z bitwy pod Cambrai w listopadzie 1917 roku. Koalicyjne tanki atakują linje niemieckie. W powietrzu krąży kapitan Fonck.

PO ŚWIECIE.



ŚWIT FASZYZMU NAD WYSPAMI BRYTYJSKIEMI. Zarówno w Anglji, jak i w Irlandji zaczynają się tworzyć związki faszystowskie, wedle utartych wzorów włoskich, a ostatnio niemieckich. Powstają więc organizacje o charakterze militarnym, które biorą na siebie obowiązek utrzymanie ładu społecznego i walkę z wybujałościami demokracji i parlamentaryzmu. Przywódcą faszystów angielskich jest niejaki Mosley. Na zdjęciu faszyści angielscy, którzy wystąpili czynnie przeciwko władzom, usiłującym położyć sekwestr na dobra w hrabstwie Suffolk. Uniemożliwili oni licytację, uważając, że właścicielowi owych dóbr, zrujnowanemu przez kryzys i niskie ceny ziemiopłodów, dzieje się krzywda, której należy w interesie państwa przeciwdziałać.



FILADELFJA POD ZNAKIEM PAŁEK GUMOWYCH. Rozruchy bezrobotnych są w Stanach Zjednoczonych Ameryki Półn. na porządku dziennym. Pomimo bowiem szeroko zakrojonej akcji prezydenta Roosevelta i jego prawdziwie rewolucyjnych kroków, mających na celu opanowanie kryzysu, nędza sroży się w dalszym ciągu w królestwie dolara, a zdenerwowane masy burzą się za lada podszeptem. Na zdjęciu policja konna, rozpędzająca bezrobotnych w Filadelfji.



„NIEMA JUŻ W BERLINIE SĘDZIÓW". Od kilku miesięcy prowadzone jest śledztwo przeciwko rzekomym podpalaczom Reichstagu. Głównym oskarżonym w tym procesie, którym interesuje się cały świat, jest komunista van der Lubbe, którego aresztowano w gmachu Reichstagu z materjałami palnemi w ręku. Wielu zagranicznych adwokatów, szczególnie z Francji zgłosiło gotowość podjęcia się obrony van der Lubbego, rząd niemiecki nie zgodził się jednak na to, nie chcąc, aby wyszło na jaw, że podpalenia dokonali narodowi socjaliści z polecenia ministra Goeringa. Na zdjęciu prezydent senatu dr. Wilhelm Bünger, który będzie przewodniczył w procesie Lubbego.

Prócz mojego aparatu lecieli jeszcze na dwóch Spadach kpt. Battle i por. Fontaine.

Odrazu nad linją frontu spotkaliśmy lotniczy patrol niemiecki, złożony z trzech dwupłatowców. Zoczywszy ich natychmiast dałem towarzyszom sygnał ataku i sam pierwszy rzuciłem się pełnym gazem na pierwszego nieprzyjaciela.

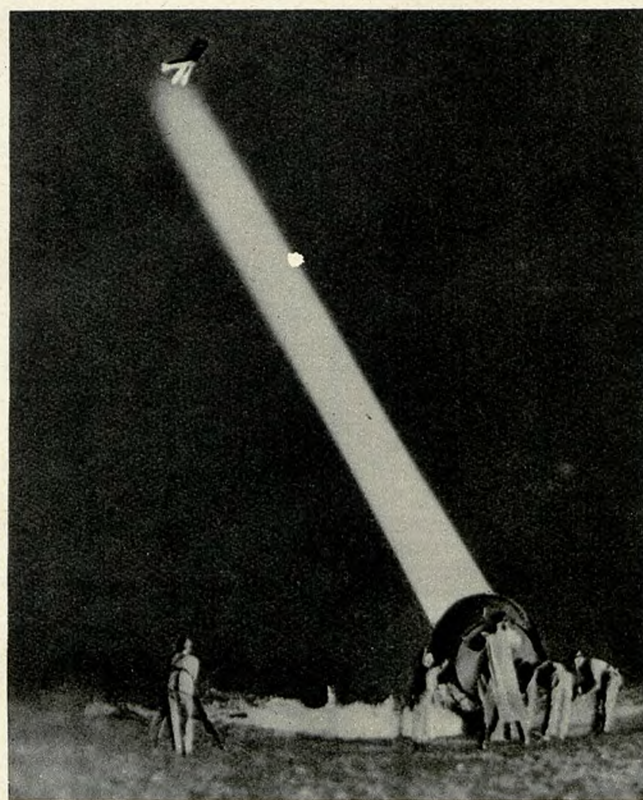
Jedna salwa wystarczyła, by aparat niemiecki runął, w płomieniach. Nie zwlekając natychmiast zrobiłem looping i w ciągu kilku sekund znalazłem się tym sposobem o 30 m. za następnym aparatem niemieckim, który zajęty był ostrzeliwaniem moich kolegów. I znowu krótka salwa strąciła drugiego przeciwnka, trzeci uciekł moim towarzyszom. Mając już dnia tego dwa zwycięstwa, postanowiłem koniecznie dojść do wymarzonego rekordu i nie lądując na dużej wysokości dalej patrolowałem front. Widać szczęście sprzyjało mi. Po godzinie na horyzoncie ukazały się cztery Fokkery niemieckie, a powyżej, nieco dalej, pięć myśliwskich Albatrosów. Leciały one trójkątem. Mój aparat górował nad niemi o jakieś 2.000 m i szybkość miał większą. Jednakże zastanawiałem się czy może mieć szanse powodzenia wdać się w bitwę, jeden przeciwko dziewięciu. Wahanie moje trwało tylko sekundę. Postanowiłem zaryzykować, i z szybkością ponad 240 na godzinę spadłem na nich z góry, starając się przelecieć pomiędzy obydwoma eskadrami i w pierwszym rzędzie dosięgnąć ostatniego Fokkera. Manewr ten udał mi się doskonale. Nim się Niemcy obejrzeli już byłem na ogonie wrogów, salwa i mój Fokker wirując leci do ziemi. W tym momencie dwa Albatrosy rzuciły się na mnie, lecz nie dając im chwili czasu i lecąc z szybkością 70 m na sekundę, prześlizgnąłem się pomiędzy dwoma aparatami i dosięgnąwszy drugiego Fokkera strąciłem go w jednej chwili. Przedemną już był tylko jeden Albatros, inne pozostały w tyle i nie potrzebowałem się obawiać, posiadając szybszy aparat. Albatros oddał do mnie kilka salw, lecz żadna kula nie trafiła. Moje salwy musiały być celniejsze, bo gdy potem odwróciłem się, zobaczyłem, że szósty także aparat stoi w ogniu.

Tyle pisze o swoim największym triumfie kpt. Fonck. W tych kilku prostych, lecz jakże wymownych słowach mieści się opis największego wyczynu lotniczego wielkiej wojny.

Pamiętniki Foncka zaszczycił krótką, żołnierską przedmową marszałek Foch. „Nikt nie potrafi dostatecznie ocenić ten bezmiar wysiłku i poświęcenia, na jaki zdobyli się ludzie w czasie wojny światowej. Na czele tych rzesz bohaterów, czołowe miejsce zajmują lotnicy, zaś kpt. Fonck był jednym z pierwszych w tej plejadzie orłów".

Po wojnie kpt. Fonck pozostał w lotnictwie, jako instruktor, poświęcając się ciężkiemu zadaniu szkolenia nowych kadr awjatorów. Otoczony powszechną sympatją a nawet zachwytem, odznaczony najwyższemi orderami francuskiemi i zagranicznemi, był nadal skromnym i naturalnym, uważając, że spełnił tylko swój obowiązek, przyczyniając się w drobnej mierze do wyzwolenia z pod jarzma obcego ukochanej przez się Alzacji.

Gdy go raz pytano, które z jego odznaczeń — jako nagroda — były mu najmilsze i największe



Reflektory niemieckie w akcji bojowej przeciwko lotnikom, zdjęcie z frontu zachodniego ze stycznia 1917 roku.

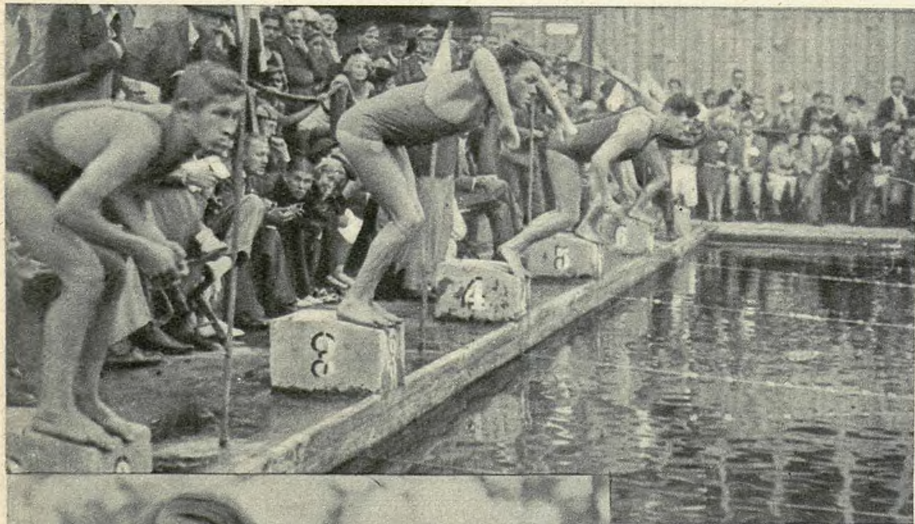
wywarły na nim wrażenie, wówczas odpowiedział krótką żołnierską historją.

Było to — mówił Fonck — na parę dni po naszym słynnym ataku lotniczym w r. 1918, gdy udało nam się powstrzymać groźną ofenzywę niemiecką i tym sposobem uratować front od przerwania. Pamiętam, jak dziś — dzień był ponury, chłodny i wietrzny. Na froncie po straszliwych bojach nastąpiło pewne uspokojenie. Razem z moją eskadrą znajdowałem się wówczas na tyłach i w oczekiwaniu na lot patrolowy, który mieliśmy przedsięknąć, siedziałem wraz z kolegami nad brzegiem szosy, gwarząc i paląc fajki. Za nami w pobliżu stały nasze ptaki, gotowe do odlotu. W pewnej chwili z za zakrętu drogi wyłonił się zwolna maszerujący oddział piechoty. Gdy podeszli bliżej, zobaczyliśmy, że są to resztki-niedobitki słynnego 26 pułku strzelców pieszych. Zaledwie kilkudziesięciu ludzi pozostało z tego bohaterskiego oddziału i to ludzi podobnych do widm. Szli oni wolno z trudem, zgarbieni, oblepieni błotem i kurzem. Na twarzach ich znać było bezgraniczne wyczerpanie. Pierwszy szereg trzymał się jeszcze jako tako, dalsze jednak to była bezładna gromada nędzarzy. Oficerów pozostało tylko dwóch. Starali się oni trzymać prosto, iść równo, mimo to wyglądali, jak gdyby z grobu wyszli. Byli to bohaterzy. Przez trzy dni bez przerwy pułk ten odpierał ataki i kontratakował, wytrzymując piekielny ogień artylerji niemieckiej i gazy. I oto nagle, gdy przechodzili kolo nas, idący na przedzie kapitan dał znak szablą i w jednej chwili ta garść nędzarzy, niewiadomo jakim cudem odzyskała siły — zgarbione postacie wyprostowały się, umęczone ręce twardo ujęły karabin, jedyny ocalały w pułku trębacz dał sygnał trąbką i oddział cały w paradnym marszy przedefilował przed nami, jak na rewji.

Żołnierze poznali naszą eskadrę, tę, która najbardziej odznaczyła się w ostatnich walkach i w ten sposób chcieli nam wyrazić swoje uznanie, podziękowanie i sympatje. Widok ten był jednym z najbardziej wzruszających, jakie widziałem i pozostawił niezatarte wspomnienie. To była najmilsza nagroda, jaka mnie spotkała.

Wszelkie oficjalne odznaczenia czy pochwały są zawsze jakieś bardziej chłodne i sztywne, ale tutaj odczuliśmy naprawdę gorące serce tych małych, szarych bohaterskich żołnierzy, którzy nie zważając na straszne zmęczenie, straszne trudy, w ten sposób uznanie swoje dla nas i dla naszych czynów wyrazili. **Szem.**

JOACHIM... JOACHIM...





W tych dniach odbyły się w Krakowie zawody pływackie o mistrzostwo Polski. Na zdjęciu start panów na 1.500 m. Drugi od lewej Bocheński, następny Karliczek.

Doskonała zawodniczka śląska Fritschówna (pierwsza od lewej) na trybunie sędziowskiej.

Właśnie odbywają się zawody pływackie o mistrzostwo Polski. Betonowa sadzawka w parku krakowskim, otoczona zwartą masą publiczności.

— Rozpoczynamy bieg panów na 1.500 m., woła speaker.

Strzał!

Runęli we wodę jak szczupaki i zaczynają pracować. Takie pływanie bowiem, to nie rozrywka, ale ciężka, ofiarna praca. Naprzód i w tył, co 50 m. Początkowo prowadzi Bocheński, ale po kilkunastu minutach „puchnie" i ustępuje miejsca Karliczkowi.

— Jak oni się męczą, rzuca uwagę ktoś obok mnie stojący.

— Nic im to nie zaszkodzi, — odpowiada rezolutnie młoda dziewczyna (16-latka), — przecież chłopy, jak konie!

Chłopy rzeczywiście zbudowane są na schwał. Klatki piersiowe jak dzwony, uda jak z bronzu, ręce jak wiosła.

Naogół zawody pływackie są nudne, szczególnie na dłuższych dystansach. Dopiero na finiszu robi się ruch na trybunach i na wodzie.

Przyjaciele próbują bowiem dopingować swoich faworytów, powtarzając miarowo ich imię.

— Jo...a...chim. Jo...a... chim. Jo...a...chim, rozlega się po parku krakowskim pod adresem Karliczka. Ale Joachim mało reaguje na te wezwania.

W pewnym momencie zawiadamia speaker, że rekord polski może być pobity, gdyby Karliczkowi udało się ostatnie 100 metrów przepłynąć w czasie 1 minuta i 3 sek.

— Jak mu dacie motorówkę, dorzuca ktoś złośliwy.

A potem inne biegi, na 100 m., na 400 m.

Teraz pływają panie. Na ich czole zdecydowanie wysuwa się Kratochwilowa. Maszyna nie kobieta. Ma zresztą dobrego trenera w osobie swojego brata, który także we wodzie porusza się jak ryba.

Wśród publiczności naturalnie rej wodzą pływacy, czyniąc co chwila fachowe uwagi. Szczególnie rozentuzjazmowane są dwie młode dziewczynki, które usadowiły się wysoko na krzesłach sędziowskich i swym nieustannym szczebiotem zapełniają powietrze. Co chwila biją brawo, krzyczą, dopingują, jednem słowem biorą jaknajżywszy udział w zawodach. Są widocznie ze Śląska, bo jedna z nich mówi po niemiecku.

Rekordy nie padły żadne. Ale co tam rekordy, za nim o nich pomyślimy, rozpocznijmy wielką propagandę na rzecz pływania. Na razie bowiem w Polsce pływa jeden człowiek na sto tysięcy. Może na drugi rok ten stosunek poprawi się a wtedy zawody pływackie nie będą imprezą tylko kilku setek ludzi wybranych.

J. L.



Trybuny były przepełnione publicznością.

Wszystkie zdjęcia Ag. fot. „Światowid"

WALKA Z REKINEM.



Olbrzymi rekin, złowiony na hak

Słynny podróżnik angielski Armstrong Sperry, który brał udział w wyprawie do mórz południowych, taki opowiedział epizod pewnemu dziennikarzowi:

„Po kilkutygodniowej żegludze, podczas której zawitaliśmy do niejednego portu, wkońcu zawinęliśmy do Tahiti, gdzie okręt wysadził nas na ląd, udając się sam dalej do Hawai.

Na tej uroczej wyspie spędziłem przy najpiękniejszej pogodzie parę miesięcy.

Pewnego dnia wyruszyłem na morze w maleńkim kajaku, tak zwanym „canoe", w towarzystwie mego czerwonoskórego przyjaciela „Terii" na połów olbrzymich ryb morskich, „srebrnych Ahiahi", które pojawiły się w dużych stadach w oddaleniu kilku mil angielskich od brzegów wyspy.

Nasze „kanoe", kierowane wprawną ręką tubylca, kołysało się lekko na falach oceanu, ciągnąc za sobą na lince błyszczący hak z perłowej masy, stanowiący przynętę dla ryb Ahiahi.

Nagle, w odległości kilku metrów, woda się zakotłowała, równocześnie wyprężyła się linka, trzymana w mem ręku i łódka targana przez ogromną rybę, rozpoczęła szalony taniec. Jeden ruch niewłaściwy, zanim zdołałbym popuścić linę — a znaleźlibyśmy się w morzu.

Ale jakoś się poszczęściło. Pojmana ryba, chwilami niby przyczajona, zachowywała się spokojnie, to znów wyskakiwała z wody wijąc się ruchami węża w powietrzu i zapadając z głośnym pluskiem ponownie w głębię. Walka trwała już prawie godzinę i ofiara zdawała się być zmęczoną. Woda się uspokoiła i łup mój zdołałem już przyciągnąć tak blisko łódki, że ogromna ryba, o połyskującym srebrem kadłubie, była w czystej wodzie dokładnie widoczną.

Wtem — nieoczekiwanie, jak grom z jasnego nieba, z szybkością błyskawicy, wyłoniła się z pod łódki naszej jakaś ciemna masa i nagle złowiona ryba zniknęła, niby pochłonięta przez czarną chmurę. Szarpnąłem linkę i z wody wynurzyła się ociekająca krwią głowa Ahiahi, tułów zaś jej został odcięty ostrymi zębami rekina.

W chwilę potem, straszny potwór, kołysząc się na grzbiecie, przepłynął tak blisko naszego kajaku, że mogliśmy wyraźnie dostrzec biel jego brzucha i rozwartą — niby z ironicznym uśmiechem — paszczę.

Wydając okrzyk zgrozy, Terii uniósł wiosło i uderzył z całej siły okropne zwierzę w brzuch. Nieszczęsny, poco on to uczynił?

Tygrys morski, jak tam nazywają rekina, nie pozostał dłużnym odpowiedzi. Gwałtowne uderzenie potężnego ogona i — jak z procy wyrzucony, znalazłem się o kilkanaście stóp od wywróconej łodzi — w odmętach wodnych.

W pewnem oddaleniu ujrzałem Terri'ego płynącego pośpiesznie w moim kierunku i usiłującego przekrzyczeć szum fal morskich. Intuicyjnie odwróciłem głowę — i krew ścięła mi się w żyłach. Nad powierzchnią wody spostrzegłem stalowo-błękitną płetwę rekina, okrążającego nas w oddaleniu najwyżej 25 metrów!

Raz po raz słyszę głos Terri'ego: Bij wodę Taai, bij wodę! To mnie wyrwało z chwilowego odrętwienia. Jak warjat począłem wzburzać rękami wodę, myśląc równocześnie: czy ratunek prędko się zjawi? Przecież opodal są jeszcze dwa kajaki.

Tymczase nieubłagany wróg powoli, lecz stale koło zacieśniał. Morska bestja zbliżała się do nas z każdą chwilą. Z niewymowną ulgą spostrzegłem szybko podpływającą łódź, skąd dochodziły mnie głosy wzywające do odwagi.

Równocześnie dopadł mnie Terii, który odsunąwszy mnie poza siebie, rozpoczął gwałtownie „bić wodę" i wzywać pomocy swoich bogów.

W tym czasie nasi wybawcy zbliżyli się na kilkanaście metrów. Rekin wstrzymał na chwilę swoje okrążanie i nagle jak błyskawica runął na nas.

Straszny krzyk pożeranego człowieka wstrząsnął powietrzem. Kiedy po pół godziny odzyskałem przytomność — leżałem w łodzi moich towarzyszy. A Terii, mój biedny Terii?

Odtąd zrozumiałem dopiero w całej pełni głęboką treść sentencji: „Niemasz większej miłości nad tę, kiedy kto życie odda za przyjaciela".

D. Z.

W PUSZCZY KATANGA.

WRAŻENIA Z PODRÓŻY DO AFRYKI CENTRALNEJ.

Katanga jest południowo-zachodnią prowincją belgijskiego Konga. Obejmuje obszar 460.110 km². Na zdjęciu lew, władca tych niezmierzonych a dzikich obszarów.

Południowe Kongo Belgijskie,
lipiec 1933.

...I znowu jedna z tych czarownych — tułaczych nocy afrykańskich — których już pół tysiąca zgórą prześniłem rozkosznie.

Noce afrykańskie działają na mnie niby haszysz beduiński — spijany masowo u ognisk Tuaregów — tam na Saharze.

Po wypiciu wywaru ziół, który tylko Syn Sahary Tuareg umie przyrządzić, usypia człowiek, duch jego jednak czuwa, a otwarte szeroko oczy zamknąć się nie dadzą, bo i jak zamknąć oczy, gdy wokół czar upojny nocy — śpiewny — rozkoszny — tajemniczy — groźny?

W noc taką ma się wrażenie, że z niebios zstąpił Bóg, że jest tak bardzo blisko, a światłość Jego niepojętej Istoty tajemnym blaskiem napaja pustkowie. Stworzenia jego — począwszy od martwych zda się głazów, poprzez całą florę i faunę — śpiewają wyczuty tylko przez koczownika tych ziem zapomnianych — hymn przepotężny, którym uwielbić chcą Jego wielkość...

I może właśnie te noce sił mu dodają do okropnie ciężkiej podróży — przez puszcze bezkresne — przez szczyty gór dzikich — a już napewno są one dla mnie beduińskim haszyszem, który ciało wzmacnia wypoczynkiem.

Noc... cisza śpiewna! Chciałbym komuś opowiadać co czuję, co myślę, lecz pustka wokół. Nie zrozumią mnie najęci murzyni, którzy już dawno u ogniska chrapią, zmęczeni przeprawą z moim bagażem przez dzikie góry Ugoma — nie zrozumie mnie step śpiewny, który bezkresem wokół się roztacza, ani jego mieszkańcy czteronożni...

A więc opowiem swoim dalekim współziomkom piórem me myśli, które może WPan Redaktor nie wrzuci do kosza. Są to zdania włóczęgi, który samotnie nocuje dziś w dzikiej puszczy, hen na Południe od równika — bardzo, bardzo daleko!...

Puszcza!... Mimo bujnej wyobraźni trudno ją przeczuć. Jest to kraj dzikich ludzi i zwierząt, nieprzecięty drogami, kraj bujną trawą porosły, która nierzadko przekracza wysokość 5 i pół metra. Wśród tych wysokich drzewnych traw tu i tam swawolny wiatr zasiał drzewa akacyj, chlebowe i inne, które ze względu na coroczne pożary, rzadko kiedy wyrosną ponad wysokość krzaka.

Miejscami — patrząc ze wzniesienia — widać wyspy potężnych stuletnich drzew, może starszych nawet, splątanych niemożliwie pnączami tej strefy. Wyspy te obecnie robią wrażenie olbrzymiego głazu szmaragdowego, rzuconego na morze wyzłoconych żarem słońca traw.

Wyspy te, to niby saharyjskie oazy, ręką Stwórcy rozsiane po piaskach, czy jej skalistych, martwych płaskowyżach, a koczownik w tych stronach nigdy w dalekiej odległości od nich nie stanie, bo inaczej z piekłem pragnienia noc przetrwać by musiał.

W splątanym gąszczu — do którego trudno nieraz dotrzeć bez użycia topora — pobłyskuje małe nieraz bagienko, po którem włóczy się masa owadów wodnych, a które stanowią wylęgarnię jajek komarów.

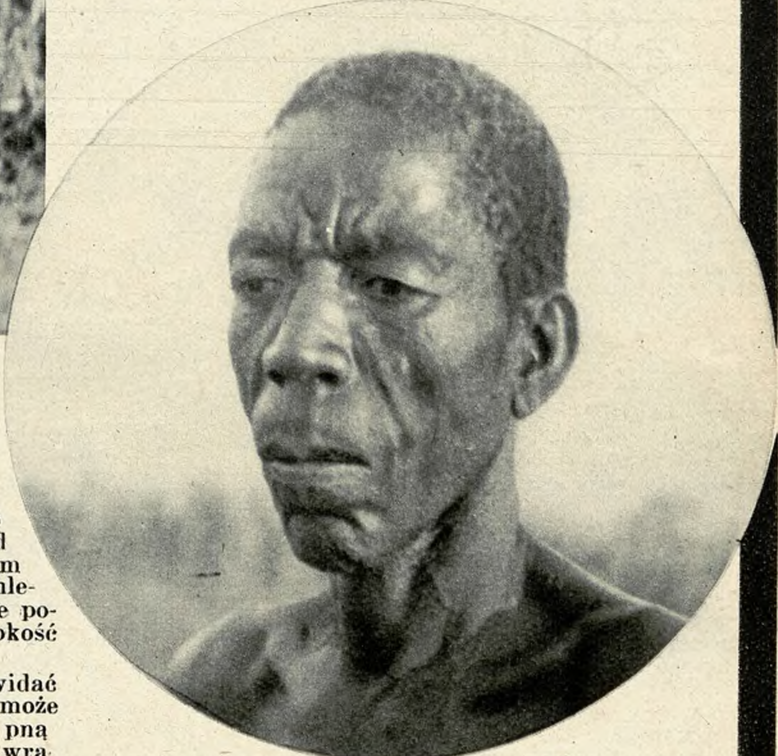
Europejczyk (stanowię bezwarunkowo wyjątek!), który tędy przewala w przepychu, gardzi tą wodą — bo przecież zarabia tyle, że może sobie pozwolić na najęcie kompanji tragarzy, którzy mu dźwigać będą wodę filtrowaną w pasteurowskich aparatach nietylko do picia, czy gotowania, ale do kąpieli nawet! Ogół ale, który gnany koniecznością przez puszcze Południa, gdy w upalne południe osiągnie takie jezierko, na kolana pada i przyłożywszy usta do połyskliwej powierzchni, pije, pije tak, jak tylko pić można w pustyni i w puszczy.

Pijąc tutaj wodę, nie myśli się wcale o malarji, o robakach z Gwinei, o innych strasznych chorobach, które zawiera życiodajny płyn, a zarazem morderczy. Tu pije się wodę ustami wprost z bagna, podczas gdy dusza dziękczyni Stwórcy, że takie bagienko wody rzucił na bezkres złotej od żaru słońca puszczy, że okrył ją cieniem kokosowych drzew, że splątał pnączami, które nie dopuszczają promieni słońca — a tem samem woda jest chłodna, jak noc tutejsza i ma moc ugasić palące ogniem pragnienie, zmyć czoło spocone wysiłkiem przedzierania się przez gąszcz puszczy, wraca siły, których tu dużo potrzeba...

Wysepki te nietylko koczownik odwiedza, o nie! Gdy dla bezpieczeństwa usiadłszy wysoko wśród gałęzi noc spędzisz tutaj — zobaczysz wszystkich mieszkańców puszczy. Defilować przed tobą będą i lwy i lamparty i olbrzymie bawoły dzikie, antylopy, gazele, dziki, kilka rodzajów mrówkojadów i wilki, hjeny, szakale i ptactwa krocie — kto zresztą policzy wszystkie rodzaje, jakie w dzień zazdrośnie kryje puszcza?

Naturalnie noc spędzić w takim przybytku życiodajnej wody niebardzo przyjemnie — nie dlatego, że pod tobą groźnie zaryczy król puszczy, lub słyszysz kocie kroki lamparta — nie! Lampart tu nie łakomi się na ciało człowiecze, ani lew cię nie tknie, gdy mu krzywdy nie zrobisz, mają bowiem żeru tyle, że wybierać mogą, a mięso gazeli takie bardzo smaczne! Przyjemność i potęgę wrażeń psują ci komary, które noc całą urządzają naradę wojenną, przemyśliwując, jakby się pozbyć nieproszonego gościa, który wkradł się na drzewa, które są ich domem. Od czasu do czasu podchodzi małpia patrol, rzuci kilka owoców — niejadalnych zresztą — i znowu wraca do gromady. I znowu narady wojenne w ich narzeczu, które mi mych Fundi przypomina, a bezlitośnie kłują wrówki, które wszędzie być muszą!

No! i one domy swoje budują na drzewach, które zdala robią wrażenie olbrzymiego ptaka drzemiącego wśród zieleni. Obwieszają gałęzie tak gęsto nieraz, że aż od nadmiaru ciężaru łamie się gałąź — ale nie upada na ziemię, bo pnącze tak splątały te oazę puszczy, że dostać się na ziemię może tylko małpa i ptak.



Murzyn z Katanga.

Puszcze południowej Afryki, to nie tylko królestwo zwierza — ale i mrówek, których mimo przelicznych mrówkojadów jest tu tak dużo że nie przesadzę, gdy ziemię tę nazwę mrowiskiem. Oprócz gniazd tych niestrudzonych owadów w postaci ptaka, o jakim wspominam poprzednio, są jeszcze trzy rodzaje ich pałaców, które dziwnie upodabiają człowieka. Mimowoli zaczyna pracować myśl i robić porównania, które wypadają bezwarunkowo na korzyść mrówczego rodu.

Jeżeli porównamy amerykański „drapacz chmur" z takim np. „grzybkiem", jaki na obrazku zobaczyć mogą Czytelnicy, to czem jest technika budownictwa XX w.? Ta technika, która nam w głowie przewraca, a która dumą nas napawa taką, że zdaje się nam: Bóg, to my! A oto patrzę raz ze zdziwieniem, oczekując nadejścia mych „Fundi", którzy, murzyńskim zwyczajem każdą chatę po drodze spotkaną odwiedzić muszą i dlatego o dzień cały w tyle pozostali — patrzę, po piaszczystej ziemi spalonego stepu idą czarne masy maleńkich bardzo mrówek. Idą wstęgą kilkucentymetrową — idą w przelicznych kierunkach. Centrem ich ruchu to taki „grzyb-pałac", od którego — niby od pomnika na placu „Gwiazdy" w Paryżu — rozchodzą się na wszestrony stałe wstęgi ulice maleńkich czarnych mrówek.

Ciąg dalszy ze strony 9-tej.

Idą'... Nie widzisz ani białych rękawiczek policjanta, ani sygnałów świetlnych, ani błyskotliwych gwoździ wbitych w asfalt jezdni — ba! — nawet żadnych napisów: „iść prawą stroną". A jednak idą — idą niby dywizje doskonale wyćwiczonego wojska, lepiej nawet, bo przecież wojsku do takiego masowego pochodu towarzyszy muzyka czy bębny, czy wkońcu tupot podkutych butów.

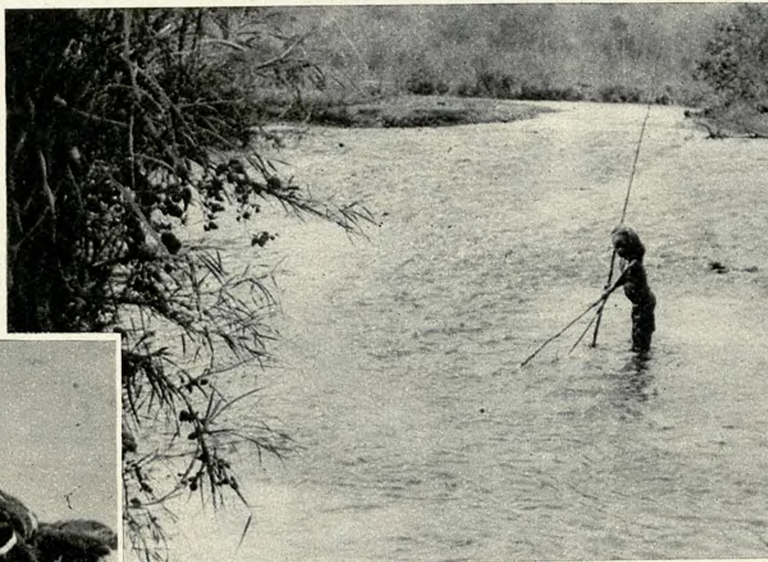
A tutaj nic z tego — czem my się chlubimy — i co myśl nam poddaje, że Bóg, to my! — a jednak zwarte masy czarnych, maleńkich mrówek idą i idą... idą karnie, trzymając się „prawej". Idą — ciągle idą — aż ślad ich poruszania od maleńkich nóżek znaczy wklęsłość — niby droga otoczona wałem.

Idą — nie jak bezmyślna masa, pokazująca barwne, modne stroje na korsach miast naszych — idą jak „mrówki". Każda z nich dźwiga ziarenko piasku, — które nierzadko biorąc pod uwagę proporcję — kamieniem nazwać można — idą spiesznie, a odniósłszy swój ciężar, wracają by znowu iść.

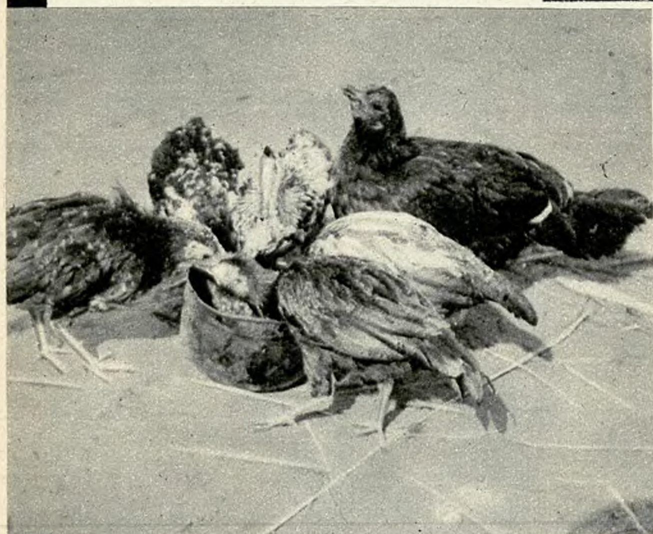
I widzę cud! Na wypalonym piaszczystym stepie rośnie budowa, w stosunku do mrówczego rodu, ogromna. Nie piszczą świstawki kierowników budowy, nie zajeżdżają piękne samochody, wiozące inżynierów z plikami planów, notatek, z setkami przyrządów. Nie biją w uwieszoną szynę żelazną, która im czas posiłku oznaczaćby mogła, ani nie zajeżdżają nawet ciężkie wozy mechaniczne z długiemi drągami i deskami rusztowań, a przecież to już zaczynają stawiać dach potężny w postaci czapki, prawdziwego grzyba, ciężki, owalny.

Budowa rośnie w oczach, grzyb przedemną wyrósł, gdy słońce tonęło hen na krańcu puszczy, grzyb duży, wysoki ponad 30 ctm. Grzyb-pałac, grzyb cementowy, choć wokół tylko step spalony, o glebie piaszczystej, suchej.

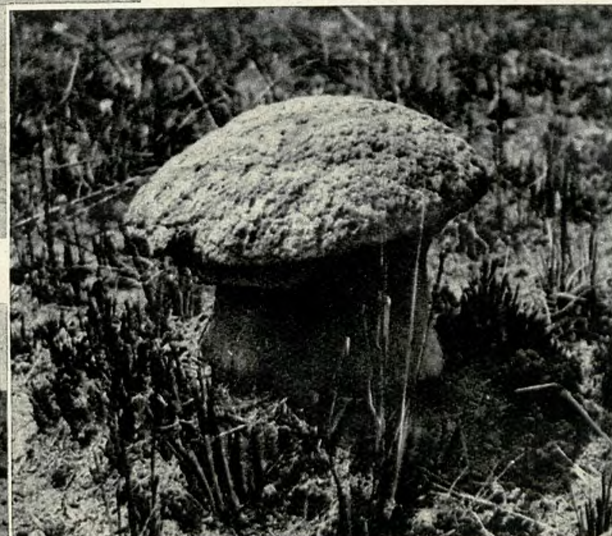
Kto tym maleńkim owadom plan budowy podał, kto ich nauczył wyrabiać cement z piasku, kto wkońcu poddał im myśl przykrycia tej oryginalnej budowy taką olbrzymią



Złotodajna rzeka Kimbi.



Spragnione kury u wodopoju.



Mrowisko w postaci grzyba,



Nasz korespondent p. Kazimierz Nowak, kroczący obok olbrzymiego mrowiska. W głębi góry Ugoma.

czapką niby grzyba?. Step! — — —

Step, który mię otacza wokół, step-puszcza, po którym jakaś dziwna jasność chodzi. Lecz jasności tej wyczuć nie umie murzyn, nie umie jej wyczuć świat zachwycony techniką XX wieku, która myśl zuchwałą rodzi, że „Bóg, to my", a przecież taka maleńka mrówka czarna, ze spalonego stepu Katangi, który bezkresem wypełnią pustkę między przeolbrzymiem jeziorem Tandjanika a górnym biegiem rzeki Congo w oczach mych wykonała cud, przedemną wyrósł mrówczy drapacz chmur, a mrówki idą i idą — — —

Oprócz tych dwu rodzaji mrowisk tutejszych są jeszcze dwa inne. Jedne podobne do gotyckich wieżyc, które strzelają wysoko ponad trawy, lecz najliczniejsze to „mrowiska-góry", pobudowane wokoło drzewa wysokiego. Mrowisk tego rodzaju tak dużo w Katanga (Południowe Kongo), że zda się przypominać cmentarzysko, pełne kurhanów, które swym ogromem dziw budzi. Bo przecież te olbrzymie kurhany zbudowały małe mrówki, takie całkiem maleńkie, z piasku do tego, który w sobie tylko w znany sposób przerobiły w cement, który wieki przetrwał, a który z ledwością cieżkie kilofy rozbić mogą.

Jeden taki kurhan, przez które kilofy murzynów przebiły drogę, prowadzącą do nowo tworzącej się kopalni złota, podaję w obrazku. Ja z moim rowerem, a nademną jeszcze kurhan, a to nie najwyższy jeszcze, są bowiem mrówcze budowle, sięgające nawet 10 mtr. od podstawy, o obwodzie kilkudziesięciu metrów.

Budowa tych kolosów choć pozornie wcale nie kunsztowna, wewnątrz roi się od alków, korytarzy, sal królewskich, a wejście jest szczytem pomysłowości, tak zbudowane, że ani woda się niedostanie do wnętrza, ani gryzący dym, gdy step obejmą ogniste płomienie. Ba! — ogień nawet nie zmieni temperatury wewnątrz, uśmierci najwyżej pracownice, które w step po żywność poszły.

Tuż koło mrowisk czernieją otwory jam, w których mieszka wróg mrówczego rodu — mrówkojad. Redukuje on z rozkazu „Władzy Wyższej" nadmierną ilość mieszkańców mrowisk, jakby uchronić ich chciał od bezrobocia i przeludnienia. Spełnia funkcje naszych samochodów, które codziennie tysiące ludzi uśmiercają w świecie.

Ja choć podziwiam ten tajemny świat mrówek, nielubię ich! Nie lubię ich, bo i jak lubieć stworzenia, które tak bezlitośnie kłują ciało, że pełno wrzodów gryzących, bolesnych, ale zazdroszczę im prawdziwie tej świetnej organizacji, która maleńkim mrówkom pozwala budować pałace, ptaki-grzyby i wieżyce gotyckie, i góry kurhany, a choć widać nieprzeliczone ogonki, jak idą i idą, nigdy w kierunku „Urzędu Bezrobocia" po łaskawy chleb... Pracy im niezbraknie, może dlatego, że niemają pychy, a już napewno nie myślą, że Bóg, to one — mrówki!

„Step-puszcza" mnie otacza, pustkowie takie, że tygodnie przewalam przez nie, a do miasta daleko jeszcze. Nie znaczy to, żeby na tej przeolbrzymiej przestrzeni, którą porównać można z powierzchnią Polski całej, nie było ludzi. O nie! — są nawet wioski o licznej ludności, która nierzadko sięga ilości 30 do 50 rodzin, z „królem" na czele, ze swoim własnym językiem, zwyczajami i obyczajami, ale od wioski do wioski, nieraz tak daleko, że tydzień cały przedzierać się trzeba ścieżynami, wśród takiego gąszczu traw i krzewów, że oprócz zenitu trudno coś dojrzeć. Utrudnia to orjentację, wyklucza ją prawie zupełnie, i podobnie jak na pustyni zatraca się zupełnie rachubę czasu i poczucie odległości.

Stale ten szmer traw, o które haczą ramiona, stale ten sam maleńki horyzont widzenia, ta sama monotonja puszczy rozćwierkotanej miljardem świerszczy i nieprzeliczoną ilością koników polnych — różnych kolorów i wielkości.

A potem muchy — z groźną „Tse-Tse" na czele, które zdradliwie pod kaskiem na karku siadają, szukając cienia i żeru. I wszystko razem życie i tak trudne, utrudnia jeszcze bardziej, a czas leci, lecz tego wyczuć nie można, czas leci, ubywa przestrzeni, a ma się wrażenie deptania na miejscu.

Ścieżyny się rozchodzą, którą wybrać? Która prowadzi do celu? Którą wydeptały stopy murzyna, a którą nogi zwierząt? Obie takie same, obie noszą ślady i ludzi i zwierząt, którą obrać pytam siebie samego?

Obierasz jedną, bo nogi przywykłe do marszu, rwą się naprzód, idziesz, omdlały zupełnie, żar słońca pali, kłóją ciernie, haczą trawy i gałęzie, a coraz to nowa dziura w ubraniu, ba! nawet ostatnie przyszyte łaty się podarły znowu, i przysłowie się przypomina takie: „Łata, a w łacie dziura!"

Drze się ubranie, odleciała podeszwa od — zda się wczoraj kupionych — butów, ale tu przecież w puszczy zatraca się rachubę czasu i poczucie odległości, zdaje się człowiekowi, że na miejscu depce i aż dziw, że od takiego deptania na miejscu podarły się nowe buty, które przecież aż 250 franków kosztowały. I wierzyć się nie chce, że ubranie znowu podobne do sieci rybackiej. Jak? Kiedy? — — —

Cierń się wbił w stopę, to znowu zarysował krwawo twarz, omal, że oko nie przepadło. Idziesz — zda się, że depcesz w miejscu!

Nozdże chwytają woń spalenizny. Co to?! wieś blisko, czy pożar puszczy, czy może tylko jakiś koczownik piecze maniokę?! Toniesz w morzu stepowych traw, spalonych żarem słońca pory suchej, a nawet ucho niezdolne chwycić dalekich dźwięków, bo trawy tak szeleszczą głośno, tak monotonnie brzęczą muchy, ćwierkają świerszcze.

Naraz rozszerza się horyzont, a na placu z traw oczyszczonym widnieje kilka kapan murzyńskich z chrustu, biednych, brudnych. Przed chatami leniwie drzemią kościste, do szkieletów prawie podobne postacie mężczyzn i tłuką kaszę w drewnianych naczyniach. Kobiety czarne, muskularne, pełne, o piersiach długich po pas, poruszających się w takt tłuczenia.

Mężczyzna w tych stronach pracą zupełnie gardzi, ucieka panicznie przed nią, cały ciężar utrzymania zdając na swą lub swe żony. Jedyną jego czynnością — to polowanie.

Grupa nagich dzieci, bawiących się koło pólka manioki-karmicielki na widok mój ucieka z wrzaskiem w puszczę, uciekają mężczyźni, bojąc się, żebym ich do karawany nie wciągnął.

Jestem głodny — pytam o jaja — niema, chcę manioki kupić — niema! Nic niema!

Każę dać drzewa, wodę — ale i tego niema, bo proszę, aby mi przynieśli. Tu trzeba rozkazywać, trzeba zaimponować siłą! Trzeba wlec za sobą liczną karawanę, aby zaimponować, zastraszyć! Wtedy niby głodne psy zaczną się łasić murzyny i u stóp twoich znosić zaczną jaja i kury, a co im rzucisz, — obojętne! — przyjmą pokornie.

A mnie brak tej werwy kolonjalnej, tego tonu wogóle, który na murzyna działa jak bat! Żal mi zresztą tych nędzarzy, którzy nie człowiecze wcale życie pędzą, bo sami nie umią podnieść się z letargu.

I ani jaj, ani wody nawet — nic! Ani drzewa do ogniska! Przemocy niechcąc użyć idę dalej. I znowu ta sama puszcza, jak wczoraj, przedwczoraj, jak już od tygodni długich.

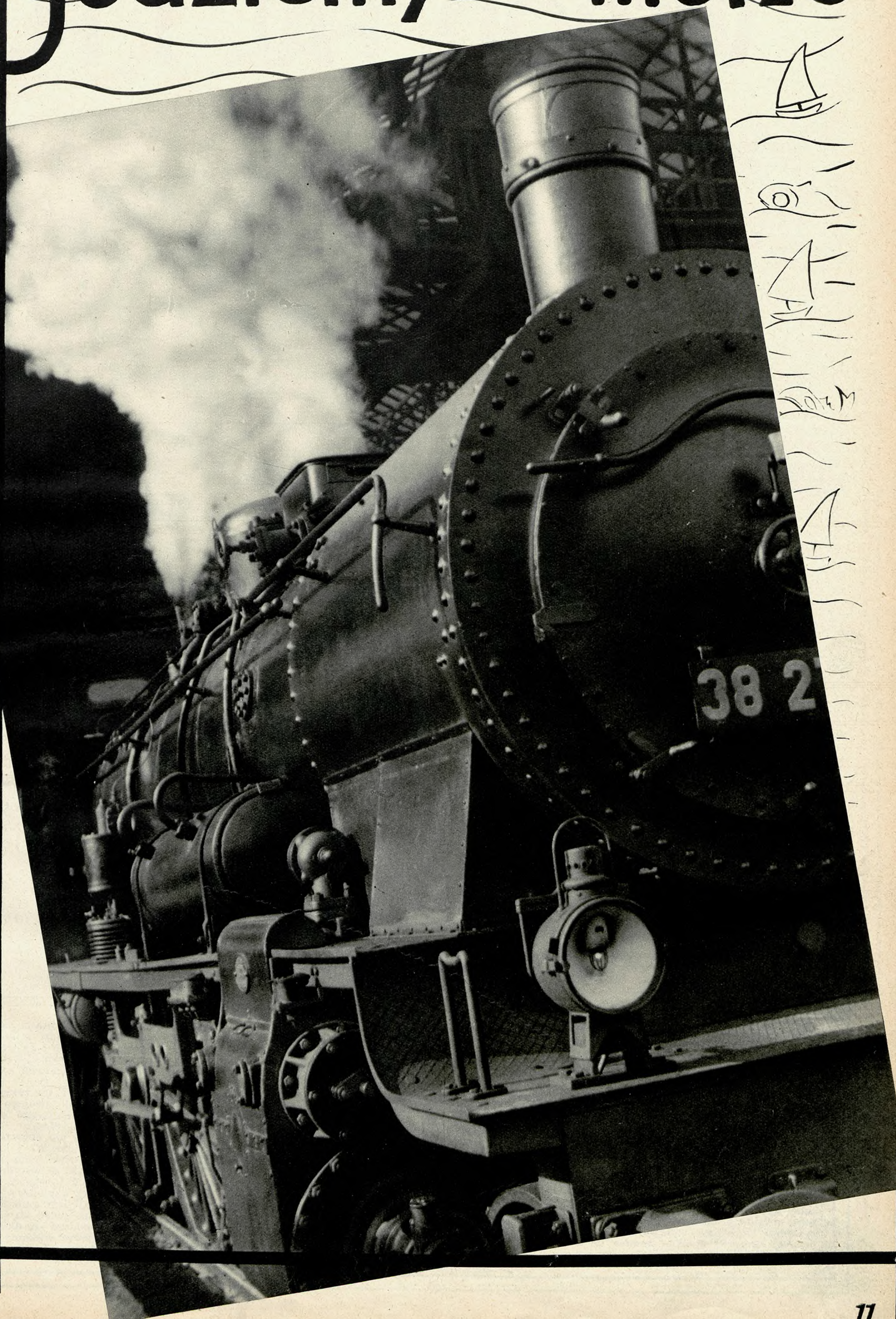
Po trudnym dniu, gdy wieczorem rozbijam obóz, tak mi jakoś śpiewnie, radośnie! Ponad „stepem-puszczą" idą modlitewne rozchowory nocy i jasność — zda się jakaś — która czarem napełnia pustkowie.

Wtedy biorę pióro i kawał papieru i piszę do Was — daje to złudzenie, że mówię. I lżej piersi, bo pragnienie rozmowy jest może równie silne jak pragnienie wody.

Ale „Krzyż Południa" tak bardzo się już nachylił ku Zachodowi, ognisko dogasa — późno! Czas spocząć, a jutro znowu zaszyję się w step-puszczę. Sił trzeba.

Kazimierz Nowak.

Jedziemy nad morze



WŚRÓD FAL I FLONDER BAŁTYKU.



NA HELSKIEJ PLAŻY.

FOT. „ŚWIATOWID“.

Zgrzytnęły lekko drzwi. Szafa też. Prawdopodobnie z przestrachu przed komornikiem. Bidula miała nalepiony maleńki, czerwony znaczek: Komornik przy Sądzie okręgowym w Gdyni. Do pokoju z bieżącą wodą, wtłoczyła się panna podająca do stołu, a na specjalne życzenie do łóżka — śniadanie. Na tacy, pluskała się herbata i dwa jajka na miękko wielkości noworodków matki mewy. Bułeczka z masłem ozdabiała ten ruchomy stół jadalny.

— Pan życzy sobie jedną kostkę cukru, czy dwie?

— Jak łaskawa, droga panno.

— Więc jedną. Cukier wprawdzie krzepi, ale sądzę, że kąpiel u nas w morzu lepiej.

Po paru alarmowych dzwonkach po łyżeczkę i sól do jaj., normalny letnik ubiera się. Anormalny, odwraca się frontem do morza, o ile łóżko jego położone jest równolegle do wybrzeża i spi dalej. Po paru minutach zrywa się na równe nogi, wciąga spodenki kąpielowe, wysypuje z pantofli resztę zabranego wczoraj piasku, zarzuca na siebie płaszcz i pędzi na plażę. Przeważnie towarzyszy mu nahalna pszczoła, względnie „bąk“ sąsiadki z pod Nr. 3-go. Morze tuż. tuż! Jak właścicielka pensjonatu przy wstępnych pertrakcjach objaśniała. Po 10-ciu minutach jesteśmy już na plaży. Większa część plażowiczek zasłaniając cesarskie cięcia, kokietuje słońce. Inni wrażliwi na promienie słońca „bekonują się“ w cieniu. Tworzą się grupy i grupki. Na widok golizny ciała zanika zupełnie dzielnicowość, natomast wybija się jaskrawie rasa. Rasa ciemniejsza góruje. Długie włosy — mam na myśli warkocze u pań — należą do rzadkości. Przeważnie garsonki. Barwne kostjumy koloru błękitnego, cielistego i cieląt (rasy małopolskiej) o ceglastym kolorze, wybijają się na pierwszy rzut oka. Tu i ówdzie pojawił się kostjum a la Gorgonowa o seledynowym odcieniu. Kolor ten wprowadza w szał zachwytu bawiącego nad morzem prokuratora Szypułę. Jest to jedyna okoliczność łagodząca estetyczne zmysły znanego prokuratora.

Kolor czarny w kostjumach jest przeważający. Jedyny praktyczny kolor na wybrzeżu Orłowa. Przeważnie spotyka się kostjumy płucowe, tzn. zakrywające tylko płuca (nb. u pań). Ogół przedstawia się dość mętnie. Ludzi o szerokich plecach spotkać można w Juracie i Jastrzębiej Górze. Są to przeważnie ministrowie, dyrektorzy banków i inni mecenasi sztuk pięknych na plażach wybrzeża polskiego.

Na paluszkach, nie zasypując leżącym oczu, podchodzi każdy do swojego legowiska. Setki źrenic przeszywa zbliżającego się adepta morskiej kąpieli. Dolatują głosy:

— Gdzie się ten chował, taki biały jak „Robotnik“ po konfiskacie...

„Biały człowiek“ momentalnie czerwieni się na przodzie i tyle ze wstydu. Jest to jego pierwsze cpalenie — od wewnątrz. Zrzuca błyskawicznie ze siebie płaszcz kąpielowy na taflę piasku i w pozycji „padnij“ leży godzinę. Później zręcznie przewraca się na drugą stronę medalu, jak kotlet na patelni i poddaje się dalszemu smażeniu. Oprócz kostjumowiczów widzimy i piżamowców. Ubrania marynarkowe można na palcach wyliczyć. Specjalnie wybijają się Słowaccy na urlopach. Każdy jest w śnieżno białej koszuli z wykładanym kołnierzem. Poezji nad morzem jest stosunkowo dość mało. Kwitnie natomiast sport bajeczkowy. Suchej nitki nie zostanie się na każdym nawet niemoczonym kostjumie. Ulubionym tematem kąpiących się jest zapytanie: „Co będzie dziś na obiad?“

— Wiem, wiem, ale nie powiem — odzywa się mecenas X.

— No, proszę powiedzieć. Wzamian za to powiem panu, czy dziś jest ciepła woda — odpowiada panna Stacha.

Mecenas X. wie co go czeka za zdradę tajemnic kulinarnych. Zmniejszona porcja napewno, więc milczy.

— A ja wiem, tylko nie powiem — szczebiocze mały Wojtuś.

— Wojteczku, ty mamusi nie powiesz? Dostaniesz za to lody.

Wojtek zgadza się i pertraktuje jeszcze z kilkoma osobami. Cyfra porcyj lodów rośnie, poczem malec śpiewa jak kanarek: „Na pierwsze — zupa z flonder, na drugie — flondra po polsku, na trzecie — herbatka!...

Zdenerwowanie u wszystkich szybko mija. Każdy zgłodniały ostrzy sobie szczęki, trenuje podniebienie. Panie, w parawanie liści szybko zdejmują mokre kostjumy. Wkładają nowe, już mniej wytworne, ale zato suche. Podobno mokry kostjum szkodzi na reumatyzm i karnację ciała. Owinięte kąpielowemi płaszczami kukły brodzą po kostki w piasku, kierują się do pensjonatów.

Dzień następny. W Gdyni na urzędzie morskim wywieszono czarną kulę. Oznacza to sztorm na morzu! Więc będzie na pewno dziś pogoda!

Morze wyrzuca meduzy na ląd — ląd wyrzuca do morza setki kapielowiczów. W tych samych dołeczkach otoczonych okopami z piasku, spotykają się starzy znajomi z dnia wczorajszego. Pierwsze pytanie to: „Czy woda dzisiaj jest ciepła?“

— Dzisiaj jest specjalnie grzana przez komisję klimatyczną, oświadcza grubszy pan z Warszawy.

Jakby na komendę każdy wyciąga jakiś olejek, maść lub wazelinę. Odbywa się gremjalne smarowanie różowych ciałek. Obrazek ten przypomina nam ogród zoologiczny z małpkami, wyczyniającemi przedziwne ruchy rąk.

Opalona Lwowianka na widok wysmarowanego grubszego pana z Warszawy— odzywa się:

— Panie dyrektorze, ta joj, ta co pan robi? Ta to tak samo, jakby pan pod smażącą wieprzowinę podłożył masła. To jeszcze gorzej!

Rozmówki są identyczne, jak w dniu wczorajszym, jak kopje ze złego zdjęcia Leici'i.

— Co państwo mieliście na obiad?

— My, Bóg raczy wiedzieć i właścicielka pensjonatu. Zresztą to sekcja zwłok dokładnie ustali.

— Bo myśmy mieli wczoraj na kolację makaron, pozostawiony z obiadu i herbatkę!...

Ktoś w sąsiednim dołku nuci „Wspomnij mnie“! Biedaczek. Czkawkę słychać wyraźnie. Zbliża się groźna chwila!

— Najwyższy czas, dobiega już godzina 12-ta, kawalerja do wody! — ktoś komenderuje.

Jakiś starszy pan na paluszkach podchodzi do morza i zanurza termometr. Otacza go gromada golców. Chwila wielkiego naprężenia. Po minucie donośnym głosem oznajmia gruby holownik.

— 20 st. Celzjusza. Woda jak w czajniku.

Ustawia się długi ogonek na minjaturowym pomoście. Ktoś się przeżegnał. Krzyk, pisk! „Ja się boję. Uj, jaka zimna!“

Jedno silne pchnięcie zaczajonego od tyłu boksera-amatora i cała gromada wpada do wody.

— Pan jest wstrętny meduziak, nieznośny kuter, a nawet idjota — padają słowa oburzonych dam.

Po paru minutach całe towarzystwo, jak więźniowie opuszczający z radością Sing-Sing w podskokach wypadają na ląd. Papieros jest tu jedynym środkiem ocieplającym. Jakby na gwizd syreny okrętowej pustoszeje, wszyscy lecą na obiad.

— Jeżeli dziś będzie na obiad znów flondra, to topię się — ktoś wyszeptał w biegu...

Nazajutrz brzmiał komunikt policyjny: „Nieznany mężczyzna wskoczył w godzinach popołudniowych do morza z mola w celach samobójczych. — Patrolującemu rybakowi udało się po ciężkiej walce uratować niedoszłego samobójcę!...

P. S. Trzeciego dnia w pensjonacie „Kameleon“ pojawiły się na obiad — miętusy!...

Antoni Wasilewski (Kraków).

A. Chocieszyński
-Poznań-

Frontem do morza i pomorza



...Wszystkie troski, co nabandziesz
Tu jich zaros sę pozbandiesz
Gdze Pon Jezus se objawił
I kaszubski narod zbawił.

„Pieśń o ziemi kaszubskiej", Izydor Gulkowski.

Frontem do morza: to mało. Raczej: Frontem do morza i Pomorza! Żeby zrozumieć nasze morze, trzeba poznać i pokochać to jego wspaniałe zaplecze — Pomorze. Tu na tym trakcie ku morzu czujemy co krok bliskość tego żywiołu, bliskość „wielkiej wody". Czujemy ją w poszumie drzew Borów Tucholskich, w dreszczu boreaszem miotanych brzóz przydrożnych, w przywartych do wydm piaszczystych sosenkach, siostrzycach tych samiuteńkich z półwyspu Helu, w dalekie horyzonty Bałtyku zapatrzonych i w tych — i to szczególnie licznych rozpryskach — jeziorach polodowcowych, wysłannikach ich północnego, możnego opiekuna. Wszystko to objawia i zwiastuje przybyszowi tę radosną nowinę, że znajdujemy się na trasie ku morzu, ku tej drodze dróg, gdzie już niema przeszkód w szeroki, daleki świat. Mewy i rybitwy w nieustannych, niestrudzonych pląsach nad źrenicami wód pomorskich dopełniają przerzucia wielkiej słonej roztoczy, opasującej ląd tuż za lasem, tuż za wzniesieniem Szwajcarji Kaszubskiej, skoro tylko przeniesiemy się taśmami dróg przez Weyherowo poza lesiste wzgórze Chylonji. A nad temi dzierżawami przedziwnego uroku ziemskiego, w taką harmonję piękna ukształconemi, o których poeta kaszubski Jan Karnowski powiedział:

„Bogu decht sę wedowała
Tero noładniejszem krajem
Bez-to „jadamowym rajem"
Zemnia ta sę nazewała..."

króluje cichy, pobożny lud kaszubski, zamieszkujący ubogie, słomą kryte chcze i wzrok swój bystry, orli wlepia raczej w toń jezior, aniżeli w biedną chudą glebę. Żyją oni z myślą o wodzie, a nie o roli i, lubo o mil dziesięć i więcej oddaleni są od morza, czują swe przyrodzone posłannictwo szczepowe, być armją rezerwową tych wilków morskich z kutrów helskich.

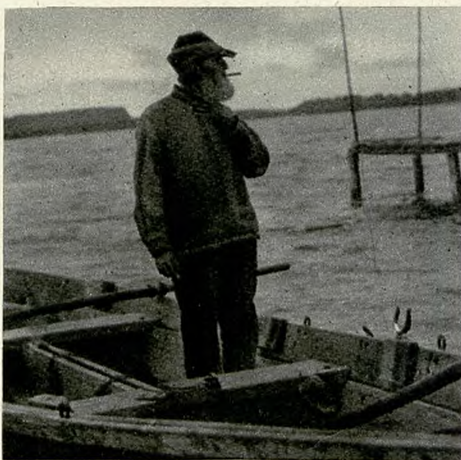
W takiem to ugrupowaniu świata i ludzi znajduje przybysz z wielkich dolin na przyzbie tej ziemi archanioła — zwiastuna radosnej nowiny, że tędy wiedzie droga do morza.

Zatrzymujemy się więc w zachwycie na tym progu i rzucamy okiem wgłąb „tej weselnej, rozśpiewanej chaty". I zdumiewamy się od cudów tych czarownych wnętrz.

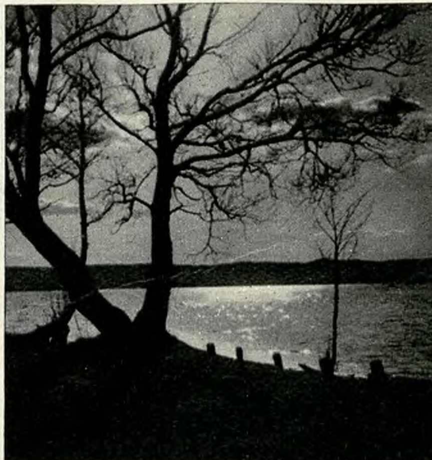
Jezioro Charzykowskie u bramy chojnickiej, rozlewne, wspaniałe małe morze, ujęte w oprawę leśnych smug porywa nam serce z miejsca. Niema obrony — wzrok jego jest fascynujący. Jego rozlewność, jego załamanie się w zaciszne leśne zatoki, jego podejścia pod urwiste strome ściany, bukami i sosnami strojne, nęci nas i wabi, przykuwa i przygarnia. Żaglem, łodzią, czy kajakiem godzinami i dniami błąkać się można po jego sfalowanej toni w jakimś błogim, upojnym śnie, topiąc w niem troski, cierpienia, przemęczenie i wyczerpanie nerwowe. A gdy do syta nakarmimy się jego wdziękiem, taśmami dróg przez gaje cisowe Borów Tucholskich, lekki krok nas niesie dalej ku północy nad nieodrodną jego siostrę, jezioro Wdzydzkie. Przez niezmierzone wrzosowiska, gdzieniegdzie chudemi żyłkami, łubinem lub kartofliskiem poprzegradzane, w ostępach Borów Tucholskich, jak oazy ludzkie występują małe, słomą przeważnie kryte ubogie wsie kaszubskie, te drogowskazy nad pomorskie jeziora. Tym szlakiem trafiamy nad jezioro Wdzydzkie: rozlane jak tamto, majestatyczne, tylko może wspanialsze w swej pierwotności. O wzburzonej, wiecznie niespokojnej powierzchni, srożącej się nieraz grzywami potężnych fal, o brzegach urwistych, potarganych, jakby z lądem kaszubskim odwieczny wiodło bój. Opływające samotne wyspy, to pełne dzikich ponurych kniei, to słonecznych, łagodnie ku głębi spadających brzegów, nad któremi piasek denny zmieni się w pryzmacie wód blaskiem złota. Co uderzenie wiosła, to nowy krajobraz, co przesuniecie się żaglówką w inną stronę, to nowa zjawa przyrodnicza: lesista stroma ściana, którą ku wodzie schodzą jak wojsko wysokopienne sosny, a na płaskiej mierzei gaik olchowy, w którego cieniu rybitwa strzeże swego zacisza domowego. Tam górność — tu sielskość. I to właśnie nęci, to zniewala, to zdobywa serce.

A gdy słońce całodzienną wędrówkę kończy, odchodząc bramą zachodnią, warto jego pożegnania śledzić nad brzegami jeziora Wdzydzkiego.

Niema palety, któraby ten kalejdoskop świateł i refleksów, tę grę i te pląsy barw utrwaliła. Jedna jest tylko paleta, która misterjum to może utrwalić. Jest nią... polskie serce.



Wdzydzki „poławiacz pereł", leszczy, szczupaków, linów i karasiaków.



Jezioro Charzykowskie.
Fot. A. Woźnicki, Chojnice.



„Jasnochówka" nad Wdzydzkiem jeziorem pod Borskiem (powiat Kościerzyna).



Widok na jezioro Wdzydzkie.

NA JACHCIE

JERZY SOLAK
LWÓW.

Przez lipiec i sierpień jest czynny w Jastarni Obóz Akademickiego Związku Morskiego R. P. Ideą przewodnią tego Związku jest propaganda Polskiego Morza, ale nie przy pomocy mało skutecznych „pięknych haseł", lecz przez bezpośrednie zetknięcie szerokich mas akademickich z morzem, pracą na morzu i najpiękniejszym sportem wodnym t. zn. jachtingiem. Sport ten jest mało dostępny dla szerokich mas z powodu dużych inwestycyj pieniężnych i dlatego w Polsce mało uprawiany. Dzięki wydatnemu poparciu władz A. Z. M. zakupił w roku obecnym 3 nowe jachtowe jednostki morskie, oraz szereg jolek, tak, że wraz z taborem już posiadanym A. Z. M. stał się najpotężniejszą organizacją jachtową Polski. Na tych właśnie jachtach i jolkach odbywa się szkolenie uczestników obozów w Jastarni. W lipcu przeszło w Jastarni szkolenie morskie ponad 110 akademików z całej Polski i 88 akademików z Czechosłowacji, z Pragi, Brna, Bratislavy i Śląska Cieszyńskiego. W sierpniowym obozie biorą udział oprócz Polaków Rumuni i Węgrzy. Ma to ogromne propagandowe międzynarodowe znaczenie dla Polskiego Morza i Gdyni, którą wszyscy cudzoziemcy są zawsze olśnieni.

A teraz oddajemy głos jednemu z uczestników obozu akademickiego nad morzem, który podzieli się wrażeniami z pobytu tamże.



Największy jacht pływający pod polską banderą. Jest to dwumasztowy kecz „Viston", zakupiony niedawno w Finlandji.



Uczestnicy obozu w czasie jazdy na jachcie.

Kiedy doszły nas (t. zn. lwowiaków) słuchy, że powstał we Lwowie A. Z. M. (Akademicki Związek Morski) i organizuje obóz jachtingowy nad morzem w Jastarni — zaryzykowaliśmy wpisowe i opłatę za wstępny kurs żaglowania w Gródku Jagiellońskim i wstąpiliśmy do szeregów przyszłych „wilków morskich".

Spotkały się te same twarze, które witają się miłem: „Jak się masz, stary?" po wszystkich schroniskach narciarskich, na kajakach, czy w skale Tatr — niepoprawni nałogowcy, amatorzy włóczęgi. „To już jest dobrze" — pomyślał każdy i wziął się do roupla i szkota, aby zdobyć nową dla siebie sztukę żaglowania.

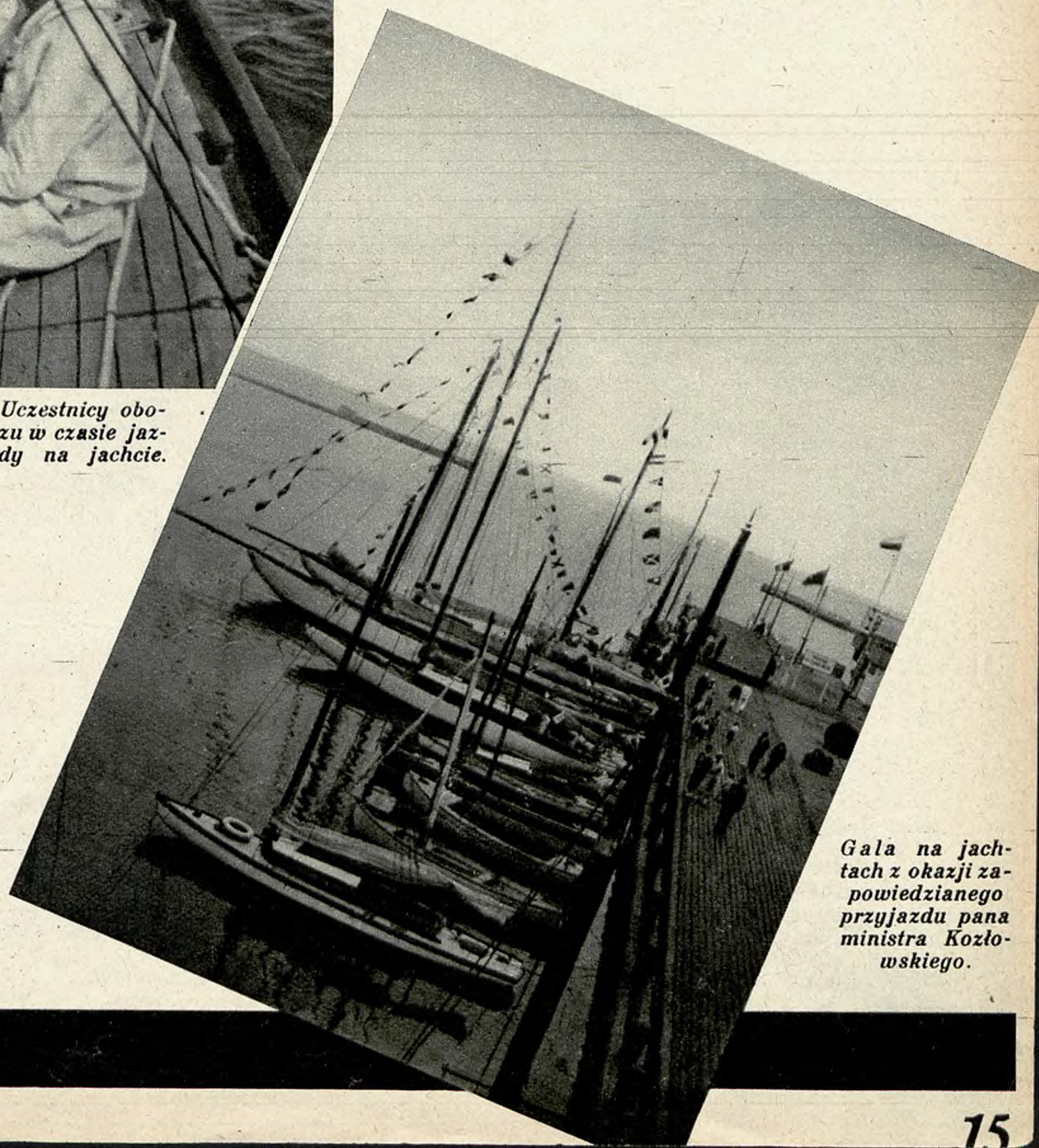
Potem zgłosiliśmy się na obóz. Ile jachtów? jaki program? komenda jeszcze nie wie nic — zobaczymy. A więc podróż w nieznane? Niech będzie — let go!

36 godzin w pociągu osobowym może wytrząść radość życia z każdego optymisty — ale gdy koło Hallerowa wzrok wybiegł w daleką równię Bałtyku, a przez stukot kół dotarł do uszu rozgwar fal, dążących w długich skibach z dali, czekającej nas — skrajny pesymista uśmiechnął się i oba nasze wagony trzęsły się od ryku.

Zjechaliśmy nad morze akademicy obojga płci z całej Polski, a Czechosłowacja 88 wyborowych Czechów-akademików i jedną kobietę-akademiczkę przysłała — razem było nas 200 sztuk.

Pierwszy obiad, składający się z herbaty i chleba, lekki, bałaganiasty galopek, wstępne prace przy urządzaniu obozu — wszystko to było, ale to można przeżyć, o ile ma się na oku smukłą sylwetkę „Wo-

Ciąg dalszy na str. 16-ej.



Gala na jachtach z okazji zapowiedzianego przyjazdu pana ministra Kozłowskiego.

NA JACHCIE

Ciąg dalszy ze str. 15-ej.

jewody", pierwszego naszego jachtu, który się zjawił w Jastarni...

Po „Wojewodzie" przypłynął z Finlandji dwumasztowy kecz, noszący cudne miano: „Vision", potem „Szkwał", a wreszcie pod koniec obozu „Lunkentus". W międzyczasie przypływały jolki do wstępnego szkolenia. Rozpoczął się jachting.

Ubrani w białe drelichy, zameldowaliśmy się na pierwszą załogę ćwiczebną. Strach blady padł na nas, gdyśmy ujrzeli, ile lin jest na pokładzie, za które można pociągnąć. Posypały się obce nam nazwy — klau, pik, fał, dirk, szkot, stalówka, knaga, sztag — staliśmy trochę bezradni. Ale od czego soczysty słownik morski w ustach stermana i stałej załogi — po jednem pływaniu na zatoce umieliśmy już A. B. C. jachtingu, myliśmy cudownie pokład, układaliśmy słoneczka i ósemki z lin i zdarzało się nam wybrać lub zluzować właściwy szkot. Coraz rzadziej padały słowa — „Któraż to oferma klarowała ten fał?!" lub t. p. mocniejsze uwagi. Kapitan już nie widział na pokładzie zataczających się bladych twarzy, już nie krzyczał: „A niech mi która cholera wypadnie za burtę — jak dam w łeb kołem ratunkowem, to już nie wypłynie". Nie łaziliśmy po całym pokładzie jak stado owiec — komendy padały cicho i umieliśmy je spełniać. Zato ręce grubiały od szkotów i fałów i każdy z nas przekonał się, że wytrzyma więcej, niż myślał.

I jeśli kto dobrze sprawował się i ruszał, dostawał się do stałej załogi.

Błogi żywot zaczynał się dla niego od tej chwili. Nie sypiał więcej jak 5 godzin na dobę (czasem mniej, a czasem grubo więcej), nie jadł zbyt wiele, ale zato pływał cały czas. Pływał do Gdyni, do Gdańska i na pełne morze. Uczył się i uczył bez przerwy. Sterował, stawiał żagle, gotował, mył pokład i garnki, ruszał się, jadł i spał. Królewsko płacił mu jacht za tę pracę. Sterować przy silnym wietrze, kiedy fala zmywa pokład, a zawietrzna burta we wodzie, wchodzić nocą do portu, wpatrzony w światła nabieżników, czy siedzieć z kolegami w kokpicie i gapić się na wysrebrzone księżycem grzbiety fal — spróbujcie sami, a zobaczycie, czy się opłaciło.

Kiedy wieczorem kolega kucharz podał w małym saloniku okrętowym kolację i zebrali się „seemany" i nowicjusze — marzyliśmy o dalekich podróżach — do Szwecji, Anglji, a nawet i dalej.

Opowiadano nam o dalekich pływaniach, morzach, „seemanach" — a bractwo słuchało i słuchało. W całem ciele miły bezwład zmęczenia, błoga sytość w żołądku, perspektywa spania, wyobraźnia włóczy się po dalekich morzach, wokoło „swoje" twarze — czego więcej potrzeba, aby było dobrze?

Z żalem opuszczaliśmy jachty. Przyjdą nowi koledzy z drugiego, sierpniowego turnusu, będą pływać na „Visionie" czy „Szkwale", może do Szwecji popłyną — a ty bracie kuj w dusznem mieście, zamiast leżeć w słońcu na pokładzie, lub brać poranną kąpiel na pełnem morzu. Ale cośmy widzieli i przeżyli — to nasze.

S.



W obozie akademickim nad polskiem morzem bawi także grupa czechosłowacka, przepadająca za muzyką i śpiewem.

Jacht „Wojewoda Pomorski" ofiarowany Związkowi Akademickiemu przez p. wojewodę pomorskiego. Właścicielem jego był słynny miljoner Kreuger, szwedzki król zapałczany. Jacht ten brał udział niejednokrotnie w regatach Ameryka—Anglja i odbył podróż do Australji.



Mycie pokładu, pierwsza czynność początkujących jachtsmenów.

ZYGMUNT D'ERCEVILLE
GDYNIA.

ZAKASALI RĘKAWY...



Dancing na wybrzeżu morskiem w Jastarni.

Zakasali rękawy swych siatkowych koszulek i trykotów i wzięli się do... pracy próżnowania. Twórczość promienna, radosna — wszelkiej innnej pracy przedpokój!... Unosi się, bowiem, nad nią cudowne, i cuda robiące, słowo „odpoczynek“, co wszechrozgrzesza, wszechusprawiedliwia.

Odpoczynek — to preludjum do symfonji czynu!

Odpoczynek — to armata przed wystrzałem, to lew przed przebudzeniem, to skupienie się, przyczajenie, to przedwiośnie!

Błogosławione lenistwo, nie wchodzące w zakres siedmiu grzechów głównych.

Chociaż straszy i przetrzega rekin na bramie cmentarnej Helu (ręką fotografa, ku jego zawodowym celom, tam umieszczony) chociaż „pożrę was“, „pożrę sezon“ mówi, niby symbolem jakimś tchniąca, jego paszcza — życie wre na Helu.

Patrzę na lewo, patrzę na prawo. istny „wyścig pracy próżniowania“! Dancing, camping, yachting — same miłe „ingi“...

Jest też i „flirting“ (na pomoc Akademjo — rodzę nowe słowo!).

Jakżeby na Helu nie było „flirtingu“? Wszak flirt, to właśnie coś pomiędzy pełnem morzem, a zatoką — pomiędzy uczuciem, a grą...

W tej chwili przez ciche wody mej duszy przepłynęła jakaś „myśl-pogłębiarka“, tak zw. draga i pogłębiła tajemnicze dno.

Wiedzione głodem, lub może łakomstwem, z krzykiem przeleciały nad głębiną mewy...

Wybrzeża nastroje...

W popularnej „Lwiej Jamie“ znajdują one ujście w tang smętnych melodjach. Jeśli w tangach nie zginą, w walcach szlachetnieją — jak, zresztą, w tem życiu wszystko...

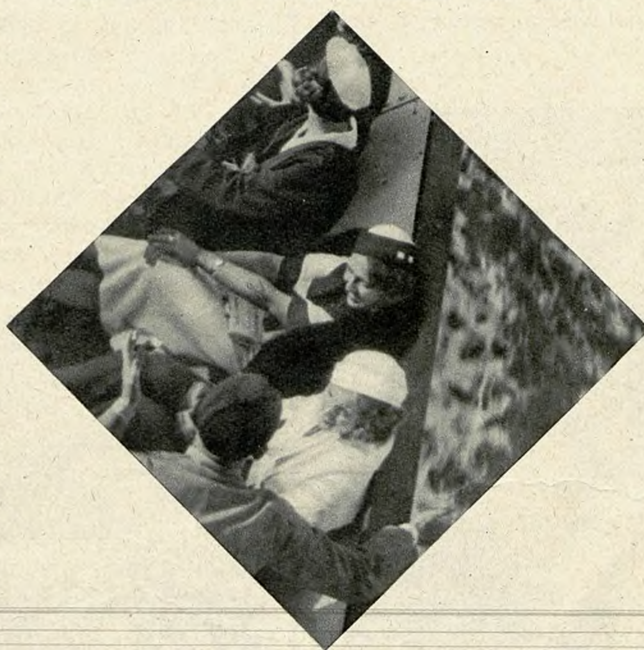
Wicher na morzu jest — tangiem, a na plaży — walcem słonecznym się staje: obracają się piaski i pyjamy, wzlatują do góry piłki i okrzyki. I tak codziennie, od rana do 4 popołudniu. Bo Helanie obiadują późno. Przedtem „obiadują“ ich płuca jodem, bromem, w bezpośredniem zetknięciu z falami. Obiad, jako taki, to, właściwie, deser. Dlatego, nigdzie, „przenigdzie“ niema takich pięknych „linij“, jak na tym ślicznym półwyspie.

— Wchodzi pani w morze mego zachwytu linją smukłą, jak Hel, powiedział w tym sezonie, jeden tknięty jesienią letnik do ledwie tkniętej wiosną letniczki.

Pozatem, Hel ma jeszcze inne dobre strony: Paryżanka umarłaby tu z tęsknoty za kapeluszem, a skąpy mąż z tej samej przyczyny by zmartwychwstał. Nic — jeno włosy, nadzieja fryzjerów, donżuanów z punktu widzenia ondulacji. „Ondulują się“, przecież, fale; tu łatwiej, niż gdzieindziej namówić. Najpiękniejsze suknie rymują się tu tylko ze słowem „fuknie“, bo helska pani uznaje jeno pyjamowe na jej ciele królowanie, wbrew dalekiej groźbie gdyńskiego Komisarjatu Rządu. Mała statuetka Wolności, widniejąca na jednej z kamienic przy dworcu kolejowym w Gdyni — i „małpująca“ wielką statuę przy wjeździe do Stanów Zjednoczonych — tu, na Hel, powinna być przeniesiona ,albowiem tu wolność plażuje i „ulicuje“. Tu, a nie gdzieindziej! Bo, nawet, nie w Jastarni, gdzie, pomimo uroczych, zarosłych zielskiem, brzegów, odczuwa się wpływ „Lido-Jurackiej“ sztywności — skąd idzie widmo kołnierzyka z krawatem i „princeski“ z wymuszonym uśmiechem. — Idzie stamtąd, także, widmo jeszcze groźniejsze: Drożyzna. Ta juracko-junacka, słowem „Lido“ śpiewna.

Tak wielką jest ta prawda o Juracie, tak przez „vox populi“ rozsiewaną, iż sam — romantyk za nowemi słowami pieszczot wciąż goniący — przyłapałem siebie na takim „sezonowym“ zwrocie: „moja najjuratsza“...

Tak, to stokroć więcej, niż „moja najdroższa“.



Niewinny flirt na statku, kursującym pomiędzy Gdynią a Helem.

ZDJĘCIA AGENCJI FOTOGRAFICZNEJ „SWIATOWID“

Jest, jednak, w Jastarni rzecz jedna, dla której można wybaczyć jej wszystko. i Juraty cień, z rachunkiem sążnistym w ręku, i stare budy i „butodziercze“ ulice. Tem czemś jest pełne poezji, sielankowe molo, z uroczym pawilonem Tow. „Żegluga Polska“; tam, w atmosferze europejskiej — a jednocześnie w atmosferze fal, mówiących o pozaeuropejskiej dali, radość życia — niby ptak złotopióry — krąży nad dancingiem.

Sezon na polskiem wybrzeżu, to, mimo lekkich krytyk — urodziny zachwytu, ciekawości imieniny. Szmer fal — rozmowa z tem co było: z kilkoma chatkami na brzegu... Zgrzyt dźwigów: rozmowa ztem co będzie: z lepszem Jutrem, z przyszłą Wielką Gdynią... Idzie od portu ku słodkim, w lenistwie rozmarzonym plażom, duch twórczego czynu i energji, zapładnia myśl, zapada w podświadomość: mrzonką, mirażem zdaje się być kryzys. „To minie“, woła głos dźwigów — „my zmorę tę przepędzimy!“.

Jest legenda, z Kamienną Górą związana, iż ongiś przerzucały się wokół niej kamieniami jakoweś przemądre olbrzymy. Było, minęło... Lecz, czyż to nie te same olbrzymy, w żelazo zaklęte, duchem Czasu zwalczone, przerzucają się teraz ciężarami tam na statek i z powrotem?..

„Wszystko się w życiu powtarza, tylko zmienia się strój maskaradowy“, kilkoma gałązkami szepleni staruszek-dąb na Kaszubskim placu.

A co mówi cmentarz oksywieński — jedno z najcudniejszych miejsc na świecie, gdzie leżą szczątki bohaterskiego Kaszuby, Abrahama, skąd widok na serca jego sen: idącą ku szczęściu Gdynię?..

A co mówi Orłowa brzeg skalisty, jak namiętność, a zielony, niby wieczna miłość?..

A co mówią oczy latarń morskich, osadzone w pociemniałych licach Gdyńskiej Zatoki?..

Wszystko to szepce, mówi, woła: cuda!..

A po tem słowie idzie słowo: nasze!..

A potem jeszcze pytanie, tak bardzo kobiece, się zachwieje: na zawsze?..

— Na zawsze! odpowie przestrzeń, nie dźwiękami — jeno Bałtyku ducha bielą — żaglami „Daru Pomorza“.

Zakasali rękawy swych siatkowych koszulek i trykotów i wzięli się do... pracy próżnowania. Lecz, że próżnują nad polskiem morzem — nad dalą odzyskaną, że dają temu morzu zdziwienie swych na lądzie wzrosłych dusz: uniesione brwi i pytanie „co to?“... że srebrnym okrętowym szlakiem posyłają swe myśli i swą wiarę — próżnowanie to tembardziej jutro będzie pracą. Albowiem, gdy odjadą — w duszach ich będzie: Gdynia. A Gdynia, to znaczy: czyn.

FLONDRY...
PROSTO OD KROWY.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA AGENCJI FOTOGRAFICZNEJ „ŚWIATOWID"


W wędzarni ryb w Jastarni.


Uliczna sprzedaż flonder na Helu.

Ubogie wioski, leżące na polskiem wybrzeżu, zamieszkują przeważnie rybacy. Na Helu, w Jastarni, we Wielkiej Wsi i w Chałupach połów śledzi, flonder, szprot, łososi, węgorzy i drobnicy, jest głównem zajęciem tamtejszej ludności. Za niemieckich czasów rybołostwo to było uprawiane w sposób prymitywny. Rzesza bowiem nie zwracała uwagi na Pomorze, mając doskonale zorganizowane rybołostwo na morzu niemieckiem. Dopiero rząd polski wyposażył Kaszubów w kutry motorowe, wybudował dla nich porty, otworzył kredyty i powołał do życia urzędy, opiekujące się niemi.

Na wybrzeżu powstały liczne przetwórnie ryb, wędzarnie i zawiązały się spółki akcyjne, mające na celu handel rybami.

Naogół w Polsce ryb jada się niewiele. Stanowią one bowiem jeszcze ciągle przedmiot zbytku. Na ryby zaś morskie jeszcze do niedawna nikt nie chciał patrzyć i trzeba było dopiero umiejętnej propagandy, aby panie z Warszawy i Krakowa przekonać, że dorsz jest rybą jadalną i smaczną. Oczywiście w tej regule wyjątek stanowił śledź i szprot, będący od wieków niejako narodową potrawą chłopów i żydów.

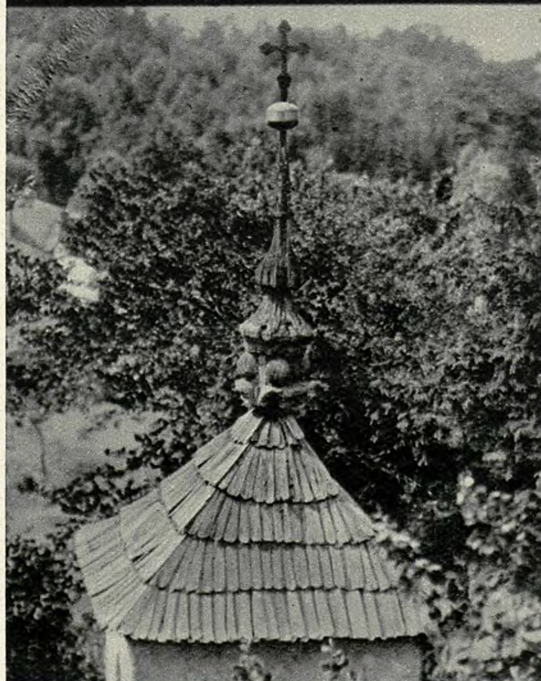
Dopiero, kiedy zaczął się ciąg letników nad morze, kiedy zetknięto się bezpośrednio z Bałtykiem i jego skarbami, ten i ów spróbował świeżego śledzia, czy dorsza i stwierdził, że jest doskonały. Nie mógł się także dość nachwalić flonder... prosto od krowy, t. zn. zakupionych wprost od rybaka z wyłączeniem pośredników, hurtowników i innych wyzyskiwaczy.

Używają więc sobie letnicy na rybach, magazynując przez to w swym organiźmie olbrzymie porcje witamin, jodu, bromu i fosforu. Wyjdzie to im na zdrowie i pozwoli przetrwać zimę. Odmłodnieją po tej kuracji i staną się raz na zawsze fanatykami polskiego morza i polskich flonder.



Letniczki, kupujące ryby morskie.

KASZUBSKA SZTUKA LUDOWA.


Kapliczka ludowa w Kartuzach na wzgórzu Wolności.

chałup, zjawiają się ohydne domki murowane, pozbawione wszelkiego piękna.

Pierwszym badaczem na wielką skalę kaszubskiej sztuki ludowej, był śp. Izydor Gulgowski ze wsi Wdzydze. Wędrując od wsi do wsi i od domu do domu gromadził on zabytki sztuki ludowej, kolekcjonował je i opisywał. Zczasem w ten sposób powstało muzeum, zwiedzane chętnie przez turystów. Mieściło się ono w starej „heczy", położonej malowniczo nad jeziorem Wdzydzkiem i obejmowało całokształt kultury kaszubskiej. W 1925 r. muzeum to za cenę zł. 10.000 zostało zakupione przez rząd a nadzór nad niem został powierzony wdowie po śp. Gulgowskim. Dokładny inwentarz naukowy tego muzeum został sporządzony przez uczenice prof. Frankowskiego z Poznania. Przed rokiem gwałtowny pożar strawił to muzeum. Nie uratowano nic. Trudno opisać, jaką szkodę poniosła przez to kultura polska, a specjalnie kaszubska. Objektów bowiem, które spłonęły, nie da się niczem zastąpić. Były to przeważnie unikaty. Dziś z całej sztuki ludowej kaszubskiej kwitną jeszcze dwie gałęzie, t. j. hafciarstwo (Wdzydze) i garncarstwo, które znalazło tęgiego przedstawiciela w osobie **Franciszka Necla** z Chmielna.


Znany garncarz kaszubski Franciszek Necel w swojej pracowni w Chmielnie.

Niewiele już z tej sztuki ludowej zostało. I to nietylko na Kaszubach, ale także na Podhalu, na Kurpiach, na Wileńszczyźnie i pod Krakowem. Sztuka ludowa zanika coraz bardziej. Coraz mniej widzi się barwnych sukman i pasiaków i góralskich portek cyfrowanych. Zastępuje je miejska tandeta.

Garncarstwo wiedzie żywot także bardzo mizerny, jeszcze gdzieś na Polesiu i na Kresach. Inne gałęzie sztuki ludowej zabił kryzys (kilimkarstwo, koronkarstwo, zabawkarstwo itd.) i konkurencja fabryczna.

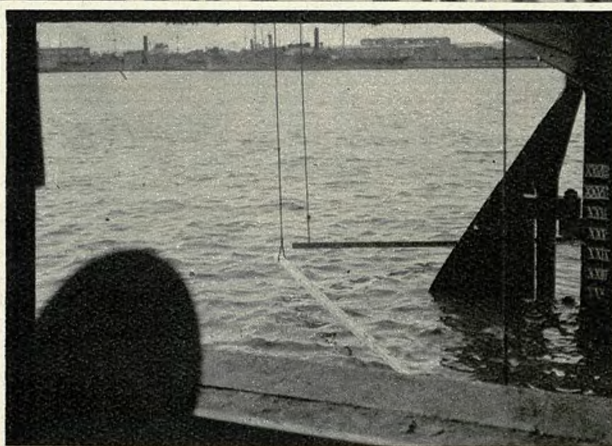
Coraz rzadziej buduje się także z drzewa. Na miejsce stylowych


Okazy ceramiki kaszubskiej Necla.

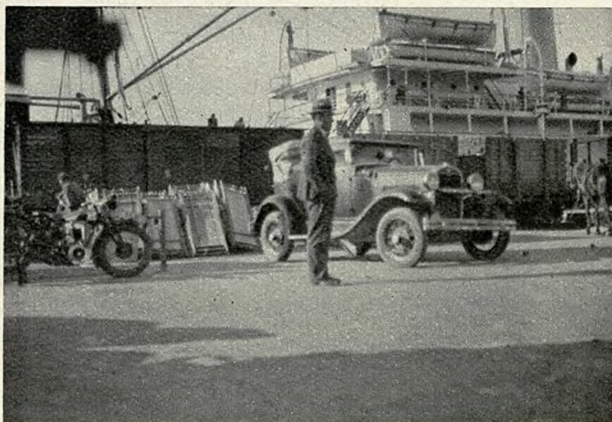


„Na plaży" rysował J. M. Brzeski.

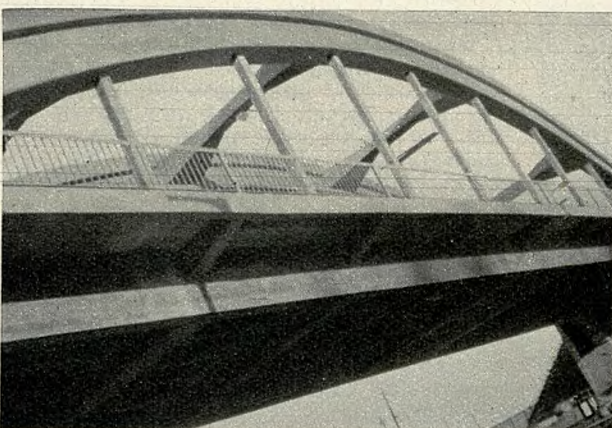
Byłem w Gdyni.



Gigantyczne stery kierują okręty z portów całego świata ku „białemu miastu" — Gdyni.



Port gdyński potrzebuje silnych rąk. Przeładunki muszą odbywać się szybko i sprawnie.



Betonowe łuki nowego wiaduktu tworzą bramę nad torami, któremi pociągi z węglem kierują się do portu gdyńskiego.

Ostremi pionami Gdynia rośnie ku górze. Na fotografji fragmenty gmachów Poczty i Banku Gospodarstwa Krajowego w Gdyni.

Zupa kalafjorowa, kurczęta z mizerją, omlet z konfiturami, czarna kawa!

Wysoki tęgi Niemiec o czerwonym karku położył kartę na stole i zabrał się do jedzenia.

Wszyscy wiedzą, że wyszczególnione potrawy można otrzymać za 3 lub 4 marki w niemieckim wagonie restauracyjnym. A więc: kurczęta można zjeść między Berlinem a Hannowerem. Takie same kurczęta jada się w „Mitropie" w drodze z Berlina do Königsbergu.

Niemiec kończył właśnie drugie danie, gdy pociąg berliński minął granicę polską, spiesząc do Gdyni. Człowiek o czerwonym karku zjadł omlet i uśmiechnął się pobłażliwie. Znał on dobrze te puste wybrzeża, które zwrócono Polsce. Przejeżdżał tędy w roku 1924. Słyszał o polskim porcie i rozmyślał o potędze reklamy.

Kelner podał kawę a wraz z nią za oknami przedziału ukazało się sine morze. Wagon zakołysał się na zwrotnicach. Pociąg gnał przez płaszczyznę pokrytą szeregami towarowych pociągów. Niemiec skrzywił się i zamieszał kawę. Za oknem błysnęła woda basenów — okręty — składy.

Gdynia Port...

Po paru minutach pociąg przybył do Gdańska — przebiegając nad długiemi, asfaltowemi jezdniami i gigantycznemi blokami domów gdyńskich.

W parę dni potem, tenże sam ekspres wracając z Königsbergu, przywiózł do Gdyni Niemca o twardym karku.

— — — — — — — — — — — — — —

Gdynia zaciekawia. Ma ona rozgłos. Jest szybka i bogata. Co rok cała Polska zwiedza ją i podziwia. Zagranica chętnie odwiedza ten wielki biały port na Bałtykiem, który powstał w przeciągu paru lat.

Gdynia jest płaska i bardzo rozległa. To miasto zbudowane na piaszczystem wybrzeżu widzi się z daleka, z morza jak poziomą linję betonu, nad którą zawisły szare dymy okrętów. Kiedy statek mija bramy falochronów — port i miasto wyrastają pionami murów i stali ku górze. Wtedy syreny okrętu krzyczą przeciągle. Odpowiadają inne od nadbrzeży. Teraz można zejść po trapie na brzeg. I natychmiast jest się otoczonym potężnemi ramionami dźwigów wykonujących szybko i sprawnie swą pracę.

Prawie każdy port — przyjmuje przyjezdnych krzykiem i harmidrem, tłumem żebraków i posługaczy, nagabywaniem gvid'ów i szczękiem żelaza.

Gdynia wita swych gości spokojem ustabilizowanych nerwów i szeptem rozkazów wykonywanych natychmiast przez miljony H. P.

Dopiero gdy samochód podróżnego minie portową dzielnicę, tory kolejowe i odwieczny dąb, chwalący swą godność pomnika — ulica staje się kolorowa i zaludniona przyjezdnymi z całego świata.

Począwszy od Skweru Kościuszki — w stronę Kamiennej Góry i asfaltowej szosy do Orłowa — znajduje się teren codziennych wędrówek letników i przejezdnych. Aleją betonowych latarń przebiegają setki eleganckich limuzyn, jak na placu Gwiazdy w Paryżu. Chodniki natłoczone publicznością i jej rozmowy pełne niepokojących pytań w rodzaju: „co zrobić z dzisiejszym wieczorem", pytań urastających tutaj — w braku innych poważniejszych trosk do rozmiarów problemów — czynią iż życie „białego miasta" prześwietlone prostopadłemi promieniami słońca jest tak łatwe.

Łatwe są także noce gdyńskie — zaludnione księżycowemi dialogami ludzi na molo i przed Riwierą.

Przy molo pasażerskiem gdzie stoją okręty idące na Hel, do Jastarni i Orłowa koncentruje się ruch turystyczny. Na prawo w okrągłym dancingu można zatańczyć przed odjazdem statku.

Na lewo przy dalekim nadbrzeżu stoi statek szkolny — „Dar Pomorza" jeden z tych potomków romantycznych fregat, które przed wiekami odnalazły świat zagubiony wśród bezmiaru wód.

Jeżeli pogoda jest ładna można zobaczyć wąską — zieloną linję Helu, nad którą kołyszą się krzyczące mewy.

Gdynia w lecie, to wielkie „miljonowe" miasto, gdzie nie spotyka się żebraków.

— — — — — — — — — — — —

Któregoś popołudniu na tarasie jednej z kawiarń berlińskich siedział otoczony mężczyznami — palącymi cygara — wysoki Niemiec z pociągu Berlin—Gdynia—Königsberg.

Gdy stolik począł komentować żartobliwie dążenia swego wschodniego sąsiada — „czerwony kark" sprzeciwił się zimno:

— Panowie! — ja byłem w Gdyni...

Janusz Marja Brzeski.

REPORTAŻ Z NAD MORZA.



DO WIDZENIA TATUSIU! Miejscowość Kuźnica leży na półwyspie Helskim. Jest to wioska, która cieszy się wielkiem powodzeniem u letników, ze względu na dużą swobodę jaką tam mają. Leży w najwęższem miejscu całego półwyspu, który tutaj ma niecałe 200 m. szerokości. Wszyscy mieszkańcy Kuźnic są rybakami. Na zdjęciu grupa dzieci, żegnająca swojego ojca, który przyjechał do nich w odwiedziny.



NA DWORCU W HALLEROWIE. Najmilszem zajęciem letników jest wyczekiwanie na pociągi. Spacerują się wtedy po peronie, flirtuje, plotkuje i szuka przygód. Szczególnie żywiej biją serca tym, którzy czekają na przyjazd swoich najbliższych, nie zawsze zresztą najdroższych. Na zdjęciu letnicy na dworcu kolejowym we Wielkiej Wsi Hallerowo. Wieś ta leży na krawędzi kępy Swarzewskiej i posiada rozległą plażę. Tuż obok Wielkiej Wsi znajduje się letnisko Hallerowo, nazwane na cześć gen. Hallera, który w imieniu Polski objął w posiadanie morze.

NA MORSKIM SZLAKU. Każdy letnik przybywający nad morze pragnie oczywiście jaknajprędzej odbyć dziewiczą podróż okrętem, aby potem uchodzić za starego wilka morskiego. Sposobności ku tym jazdom jest wiele, ponieważ pobrzeże morskie posiada doskonałe połączenia zapomocą statków z półwyspem Helskim. Na zdjęciu nowicjuszka, odbywająca swą pierwszą podróż po morzu.



CAMPING NAD MORZEM. Jedną ze świeżo upieczonych miejscowości na półwyspie Helskim jest Jurata. Założyło ją konsorcjum warszawskie i wyposażyło we wszelkie nowoczesne szykany. Letnicy lubujący się w prostocie mogą korzystać z domków campingowych, które po raz pierwszy na ziemiach Polski ukazały się w Czorsztynie i w Żegiestowie przed dwoma laty i odrazu znalazły licznych zwolenników. Na zdjęciu domki campingowe w Juracie wśród kniei leśnej.



NA JASNYM BRZEGU. I polskie morze posiada swój Jasny Brzeg, który rozciąga się nad pełnem morzem między Rozewiem a Karwią. Gromadzi się tu najwytworniejsza publiczność, korzystająca z szeregu nowoczesnych pensjonatów. Z Jastrzębiej Góry rozciąga się wspaniały widok na pełne morze, które w tem miejscu ma jasno-zielonkawy odcień. Na zdjęciu grupa letników, grająca w bridża nad morzem.



MISTRZ GOLD W GDYNI. Znany twórca tang Henryk Gold (na zdjęciu) ofiarował cały dochód ze swego benefisu w Gdyni na rzecz Polskiego Czerwonego Krzyża i Gdańskiej Macierzy Szkolnej, zyskując wdzięczność u tych instytucyj.



W ORŁOWIE. Do najpiękniejszych zakątków polskiego morza należy Orłowo, miejscowość położona między Gdynią a Sopotami w pobliżu Małego Kacka. Ludność kaszubska ufundowała tu figurę Serca Jezusowego, którą poświęcono 3 maja 1924 r. Wspaniały Dom Zdrojowy jest ośrodkiem życia towarzyskiego. Na zdjęciu plaża.

Delikatność.



— Pan jest doskonałym urzędnikiem i zasługuje pan na lepsze warunki...
— O, panie dyrektorze!
— I dlatego radzę panu poszukać sobie innej posady...

W ogrodzie zoologicznym.



— Czy ten słoń jest bardzo zły?
— Przeciwnie, może go pani owinąć dokoła palca...

Kłopoty małżonek.



— Czy małżonek pani też mówi przez sen?
— Nie, ten łajdak uśmiecha się tylko!...

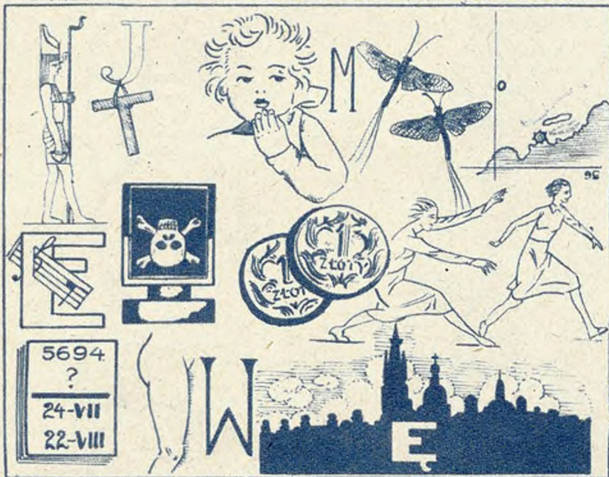
Uprzejma odpowiedź.



— Niech mi pan powie, kiedy będzie dziesiąta godzina...
— Jak mała wskazówka będzie na dziesiątce, a wielka na dwunastce!...

REBUS.

(Ułoż. J. Stratilato, czł. Warsz. Klubu Szar.).



KAPRYSY ŻONY I... POGODY.

Szarada.

(Ułoż. „Yes“ czł. Warsz. Kl. Szar.)

Lato, urlopy, wyjazdy, letniska, —
oto wyrazy, od których piękności
uśmiech na lica każdego wytryska,
a serce **sześć-pięć i dziewięć** z radości.
Lecz nie każdemu ta możność jest dana,
by na pięć-szóste te pozwolić sobie!
I, by z **raz-trzeciej** miała być wybrana
wszystka gotówka — zwłaszcza w naszej dobie.
Tembardziej, że tam niewiele zostało
już do tej **czwartej** i **dziesiątej** wszakże, —
bo ci podatki zabrały niemało —
i, gdyś nie wpłacił, — **raz-dziesiąte** także.
Ale nie każdy dzisiaj to rozumie,
że ty, człowiecze, gnębisz się i trujesz,
że mózg twój wyjścia już znaleźć nie umie, —
że od utrapień siwiejesz, chorujesz...
Ot, żona twoja, o której z zachwytem
mówisz, ujrzawszy jej **dziesiąte-trzecie**:
„**Wspak dziewięć-dziesięć** mulier!*) — no i przytem
witasz ją czule, boć ją kochasz przecie.
A ona wtedy z miłym, ujmującym
zwraca się **szóstym** i **ósmym** do ciebie:
„Mężu, jeżeli jesteś kochającym,
nie odmów żonce w jej nagłej potrzebie...“
I dowiadujesz się, że twa kochana
wskutek miejscowej zmian **czwartej-pięć-szóstej**,
chce na letnisko od swojego „pana“
dostać pieniędzy z kasy prawie pustej!
Chwytasz się, człeku, za serce i głowę,
i jęcząc mówisz: „Próżne kasy kąty!!“
Lecz ona — z płaczem — ma „zwroty“ gotowe:
„**Siedm-ósmym** jesteś mej **dziewięć-dziesiątej!!**“
Na takie dictum cóż poradzisz wtedy? —
Wyciągasz resztki, chowane w sekrecie,
(co miały chronić ciebie w razie biedy!)
by zadowolić żony... **raz-dwa-trzecie...**
I wyfrunęła!.. Ale co się dzieje?
Jak szybko chciała zmienić locum stałe,
tak szybciej wraca i przez łzy się śmieje
ze żalem mówiąc: „Ach! naprawdę **całe!..**“

*) Zwrot łaciński.

Za rozwiązanie powyższych dwu zadań, redakcja „Światowida“ przeznacza

trzy nagrody.

Pierwsza zł. 20.—, druga zł. 10.—, trzecia prenumerata miesięczna „Światowida“.

Rozwiązania należy nadsyłać najpóźniej do dn. 2 września -933 wraz z załączonym kuponem.

Rozwiązanie z Nr. 32.

Morskie kąpiele w lecie, to rozkosze młodzieży, dorosłych, a nawet i starych.

Trafne rozwiązanie zagadek z Nr. 32 nadesłali:

„Bebe“, Baranowicze; „Elce“, Warszawa; Tomasz Wołek, Katowice; Leopold Bronner, Kraków; Marja Baworowska, Sorocko; Kazimierz Pycio, Pabjanice; Leon Szafrański, Poznań; Adam Borowicz, Poznań; Prakseda Chęś, Poznań; Kazimierz Mirowski, Katowice; plut. Jachimski, Chełmno; Aleksander Bielewicz, Chełmno; Anna Loeglerówna, Stanisławice; J. Antonowiczowa, Równe; Janusz Roman, Warszawa; Zygmunt Tietz, Warszawa; Stanisława Mikowska, Warszawa; Serafina Kuźniecowa, Wilno; Zygmunt Pieracki, Wilno; M. Szewiakowa, Wilno; Julja Hećkowa, Rakowice; Wiktorja Mikołajczyk, Kraków; „Niezapominajka“, „Tuberoza“; Michalina Schmidt, Lwów; Jadwiga Lenartowska, Poznań; L. Lenartowski, Poznań; Jadwiga Tyblewska, Poznań; Wł. Jankowski, Żywiec; Wiktor Kortylewicz, Poznań; **Jadwiga Krasowska, Sambor (zł. 20.—)**; Marja Kijakówna, Brzezów; Teresa Zącherowa, Kazimierz Stankiewicz, Sosnowiec; Witold Ustaszewski, Rembertów; „Manfred“; Wiesław Opalski, Warszawa; Andrzej Gajerski, Cieszanów; „Wilnianin“, Dubno; Władysław Pędzimąż, Zakopane; Ludwik Domański, Kowal; „Erka“, Warszawa; A. Majerowicz, Rzeszów; dr. Helena Opielińska, Środa; Marja Hirszenfeldowa, Węgrów; Stanisław Rybiński, Kraków; Irena Senze, Żychlin; Wacław Gąsiorowicz, Łęczyca; Władysława Gajowa, Poznań; Kazimierz Lilpop, Warszawa; **M. Jagusiński, Kraków (zł. 10.—)**; Dorota Herbstmanówna, Warszawa; Józef Szczurek, Łagiewniki; Helena Łabaj, Kraków; Jan Bajdo, gmina Łęg; Kazimierz Chendyński, Nowa Wieś; Jan Obtułowicz, Węgierska Górka; Józef Maziarz, Ozorków; Roman Dergiman, Wilno; Wład. Wojtczakowa, Ozorków; Miecz. Marcinkowski, Inowrocław; K. Puchowicz, Warszawa; Wacław Tyblewski, Poznań; Teofil Sobecki, Poznań; Aleks. Brachweld, Kraków; Wojciech Ciepiela, Kraków; „Wiesław“; J. Bielenia; Jawna Kowalska, Warszawa; inż. J. Modrzejewski, Lublin; J. Świerczyńska, Lwów; Miecz. Straka, Rzeszów; Czesław Kozłowski, Warszawa; Z. Ptaszyńska, Oświęcim; „Helios“, Sosnowiec; Ludwik Magenheim, Lwów; St. A. Leracz, Poznań; Urban Tomasz, Drohobycz; Stan. Urbanowa, Drohobycz; Jerzy Łopatto, Warszawa; Marja Strubel, N.; Kazimierz Kozłowski, Warszawa; „Rozmaryn“, Wilno; L. Pogoda, Jaworzno; E. Petrynowski, Kutno; L. Jasiński, Kutno; Czytelnia T. S. L., Węgierska Górka; J. Stefańczyk, Pabjanice; **R. Kaniak, Tarnopol (prenumerata miesięczna „Światowida“ od 1—30. IX. 1933)**; Stefan Marynowski, Łódź; Piotr Chmiel, Kielce; ks. L. Klementowski, Tarnopol; Wład. Mierzwicki, Pobiedziska.

W losowaniu o nagrodę los padł na pp. Jadwigę Krasowską, Sambor (zł. 20.—), Marjana Jagusińskiego, Kraków (zł. 10.—) i R. Kaniaka, Tarnopol (prenumerata mies. „Światowida“ od 1—30. IX. 1933).

Redakcja „Światowida“ nagrody pieniężne prześle niebawem.

W BIURZE.

Szef: — Spóźnił się pan o całą godzinę do biura!
— Spadłem ze schodów, panie szefie...
Szef: — Co i na to potrzebował pan aż godziny?

W GÓRACH.

— Ty Zosiu robisz na wycieczce wrażenie, jakbyś zapomniała zupełnie o mężu...
— O nie, zawsze mi on przychodzi na myśl, gdy spojrzę na lodowiec.

OSZCZĘDNA GOSPODYNI.

— Z ilu jaj mam zrobić omlet, proszę pani?
— Rozbij cztery jaja; z dwóch weź żółtka, a z dwóch białka, a resztę zlej do filiżanki i zostaw na jutro.

WYBÓR ZAWODU.

— Nie mogę się zdecydować, czy zostać lekarzem uszu, czy dentystą.
— Ależ naturalnie, tylko dentystą. Pomyśl sobie, przecież człowiek ma tylko dwoje uszu, a tyle zębów.

ŚWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
Prenumerata kwartalna zł. 12.50. Zagranicą zł. 15.—.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65.
Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9. Tel. 551-90 i 551-91.
Numer konta P. K. O. w Krakowie 404.200 — w Warszawie 140.725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus“) — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus“), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Wydawca i naczelny redaktor: MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH.
Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.

KUPON Nr. 35 *upoważniający do losowania nagrody za rozwiązanie zagadek z 26-go sierpnia 1933 roku.*

SENSACJE LATA 1933



June Glory prezentuje sukienkę przeźroczystą z lekkiej gazy na cielistym trykociku.

W pogoni za oryginalnością, która nie gardzi też ekscentrycznością form, powstają rok rocznie modele tualet, szczególnie frapujących świat kobiecy, a niejednokrotnie i męski. To, co tego lata wybiło się siłą swej niezwykłej atrakcji w dziedzinie mody kobiecej, stawia nas rzeczywiście wobec śmiałego pomysłu — nie nowego to prawda, ale cóż jest pod słońcem nowego? — zastosowania do sukien letnich materjałów całkowicie przeźroczystych, przyczem zamiast kombinacji itd. cały spód stanowi tylko przylegający i obcisły trykocik, który modeluje nieskazitelnie linje ciała. Zaraz tu zauważyć musimy, że i same linje muszą być przy takiej sukni nieskazitelne i tylko szczęśliwe wyjątki, obdarzone przez naturę tym wyjątkowym darem, jakim jest piękna budowa ciała, mogą sobie pozwolić na ubranie tak niezwykłego dzisiaj stroju.

Nie dziwnym był strój taki w zamierzchłej starożytności. Widziały go pałace Faraonów egipskich za czasów dynastji XI i XII, kiedyto prócz lnu i bawełny poczęto używać materjałów jedwabnych i najcieńszych przeźroczych tkanin, możliwych do uzyskania dopiero z jedwabnej nitki. Moda ta przyszła ze wschodu, gdzie już wcześniej tancerki izraelskie na nagie ciało, zdobne metalowemi napierśnikami, naszyjnikami i sznurami pereł, narzucały powłóczyste a przeźroczyste spodnice przepasane w pasie bogatym złotogłowiem. Długi wąski szal na rękach uzupełniał ten strój, który naśladowały potem kobiety światowe w Egipcie. I tu wkładano go wprost na ciało, przepasując się w pasie szkarłatną szarfą o spływających do ziemi końcach.

W bliższej od nas odległości wieków, spotykamy potem przeźroczyste szaty w czasach Dyrektorjatu. Od tej pory zarzucono zupełnie myśl powrotu do takiego stroju. Dziś, gdy na plażach i placach sportowych nie dziwi nas wcale obcisły kostjum z cienkiego trykotu, odsłaniający nogi, ramiona, szyję i plecy, jesteśmy przyzwyczajeni do tych form, a jednak śmiały, nader śmiały jest pomysł narzucenia na cielisty trykocik lekkiej sukienki z całkowicie przeźroczystego materjału. To też nie widziano ich jeszcze na ulicy poza wielkiemi magazynami paryskiemi. Lato ma się już ku końcowi więc być może, że w tym roku los tej nowalji jest przesądzony. Czy ma ona walory artystyczne osądzą Czytelnicy z zamieszczonego obok zdjęcia.

J. Z.

ÇZY DOBRZE MI W TYM KAPELUSZU Z GUATEMALI?



Signora Baby Berard wolbrzymimkapeluszu z Guatemali.

Zdjęcia Francis C. Fuerst.

Sensacją na włoskiej Riwierze było pojawienie się p. Baby Berard w olbrzymim kapeluszu słomkowym, który mąż jej przywiózł z Guatemali, a który noszony jest przez tamtejszych Indjan. Kapelusz ten ma prawie jeden metr średnicy, jest jednak stosunkowo lekki, a mając potężne krysy, chroni od słońca. Za wzorem pani Baby chciały iść także inne kuracjuszki.

Nie tak łatwo jednak było sprawić sobie guatemalski kapelusz, bo Guatemala daleko, a sezon kończy się. Pani Baby może być więc spokojna, że nikt jej nie zrobi konkurencji i że w Pieve Ligure będzie jedyną kobietą, posiadającą kapelusz z Guatemali, w którym jest jej tak do twarzy.

Rad jako środek leczniczy.

Pierwiastek chemiczny rad został odkryty w roku 1898 przez znakomitą rodaczkę naszą p. Marję Curie-Skłodowską. Rad otrzymujemy **z rudy uranowej, wydobywanej** głównie w Jachimowie w Czechosłowacji. Rad jest ciałem promieniotwórczem, rzucającem promienie, przenikające przez materję, znajdującą się na ich drodze. Doświadczenia wykazały, że promienie radu wywierają **potężny wpływ na organizmy roślinne i zwierzęce.**

Przenikając w głąb żywej tkanki, promienie radowe wywołują w niej zmianę, które zależnie od stopnia działania mogą być **zarówno pożyteczne jak i szkodliwe dla organizmu.** Silne naświetlanie niszczy tkankę i własność tę zużytkowano w leczeniu nowotworów złośliwych, np. raka, naświetlanie zaś słabe wzmacnia i pobudza procesy życiowe. — Długoletnie doświadczenia i badania dowiodły, że umiejętne stosowanie promieni radowych dodatnio wpływa na tkankę nerwową, odnawia krew i usuwa z niej szkodliwe składniki (kwas moczowy), pobudza śledzionę, nerki i wątrobę, regulując w ten sposób przemianę materji, zabija bakterje i leczy zapalenia ropne.

Mieszkańcy okolicy Jachimowa już od niepamiętnych czasów stosowali **okłady z woreczków, napełnionych rudą uranową przeciw różnym cierpieniom i chorobom.** Obecnie **wszyscy mogą korzystać** z tego uniwersalnego środka leczniczego, **stosując okłady znane pod nazwą „Radiumchema“.** Są to suche okłady, przeznaczone do klinicznego i domowego lecznictwa radowego. Zawierają one element radu w formie sproszkowanej rudy uranowej z Jachimowa. **Zawartość radu w okładach „Radiumchema“** jest zaznaczona w miligramach na pudełku i jest sprawdzana przez Państwowy Instytut Radowy w Pradze Czeskiej i przez radiologiczną pracownię Tow. Naukowego Warszawskiego w Warszawie.

Okład radowy „Radiumchema“ **łagodzi bóle, wzmacnia system nerwowy, leczy migrenę, neurastenję, nerwobóle i nerwicę serca, usuwając kwas moczowy z krwi, leczy choroby przemiany materji, dnę, (artretyzm), gościec** (reumatyzm), **rwę kulszową** (ischias), **zapalenie stawów** itd. Stosowanie tych okładów powstrzymuje **rozwój miażdżycy tętnic, zwapnienia naczyń krwionośnych arteriosklerozy.** Również **w chorobach nerek, śledziony, wątroby, żółci w procesach zapalnych i ropnych, w chorobach skóry, jak liszaje, czyraki, leczenie zapomocą tych okładów daje doskonałe wyniki.** Okłady radowe są również bardzo pożyteczne w okresie niedomagań klimakterycznych (okres przekwitu), oraz obniżają ciśnienie krwi u osób starszych.

Stosowanie „Radiumchemy“ jest niesłychanie proste, gdyż okłady w woreczku flanelowym przykłada się lub przywiązuje do chorego miejsca.

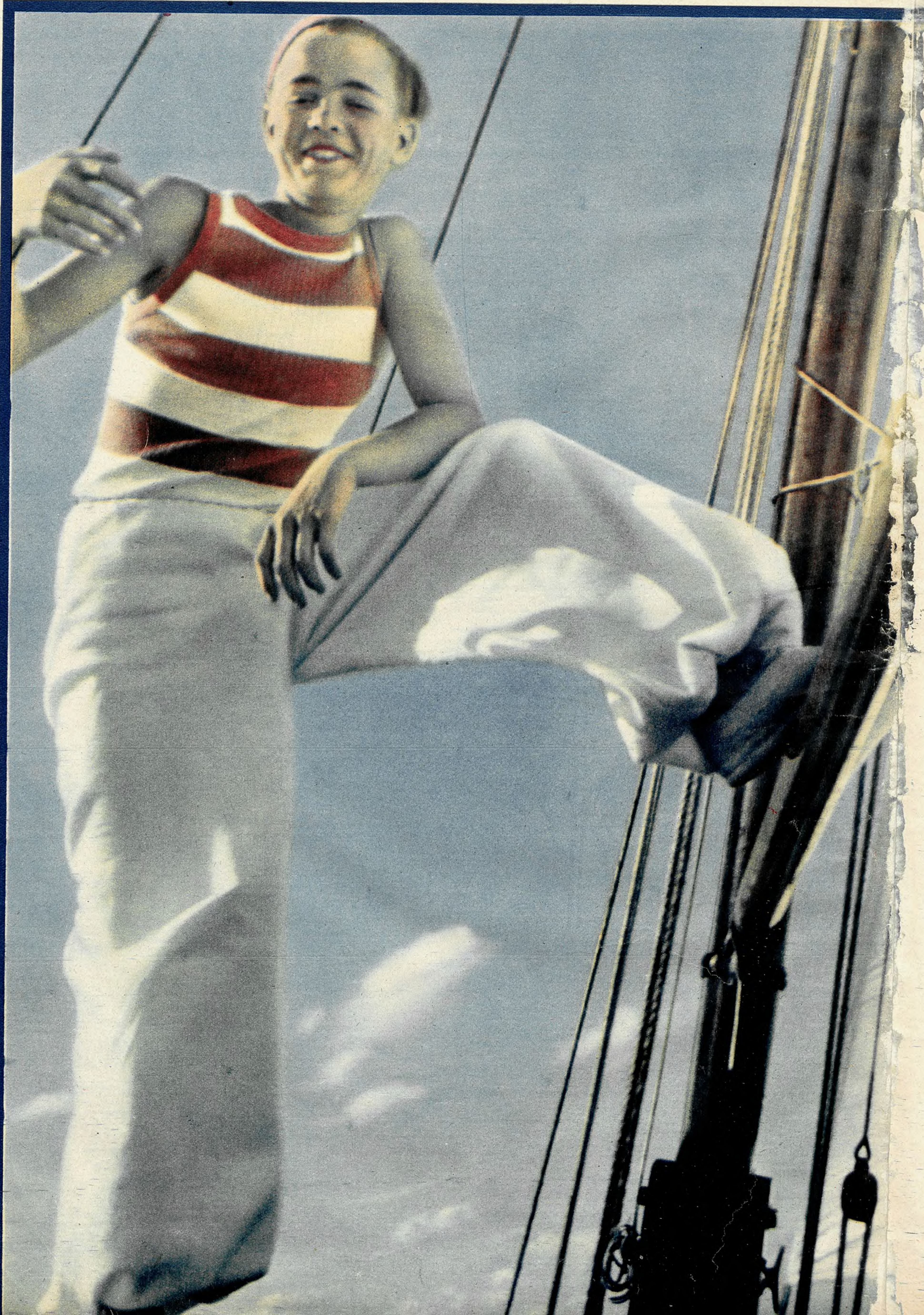
Należy jednak wystrzegać się falsyfikatów. Prawdziwe okłady jachimowskie „Radiumchema“ zaopatrzone są w godło państwowe Czechosłowacji.

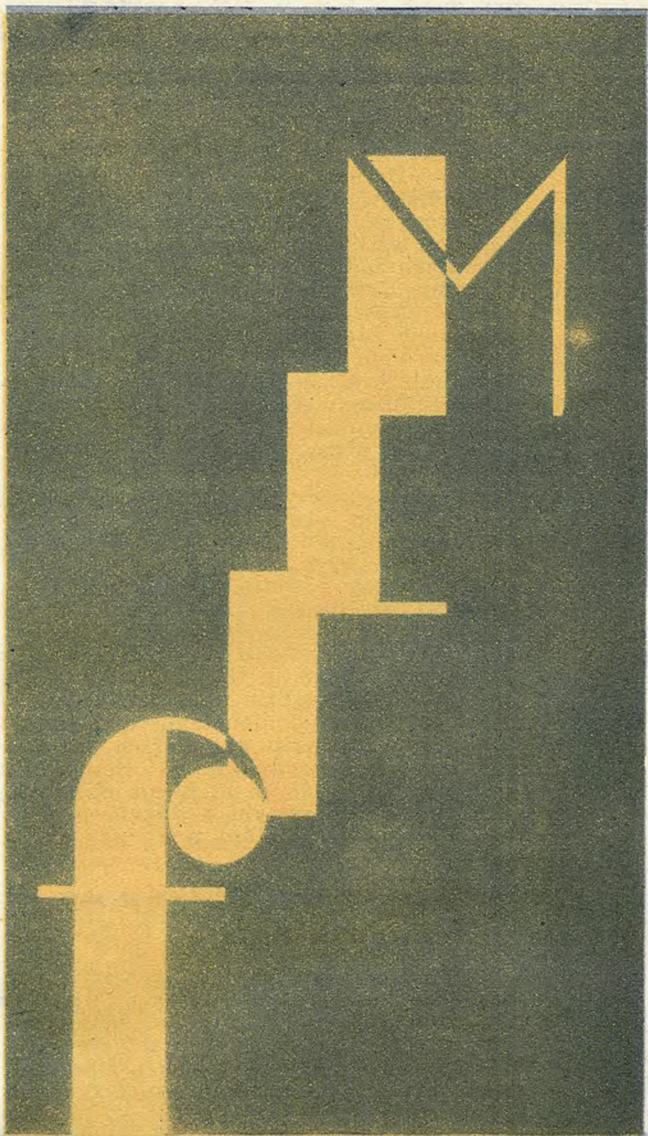
Bezpłatne informacje wysyła „Radiumchema“ Warszawa, Śniadeckich 22, tel. 8-83-11.



Skiagram. Promieniowanie okładów radowych „Radiumchema“ z Jachimowa (St. Joachimsthal) na kliszę fotograficzną. Przedmioty metalowe, które promienie trudniej przepuszczają widoczne są, jako sylwety. Jest to próba prawdziwości okładów radowych „Radiumchema“, którą każdy może wykonać bez aparatu fotograficznego przez proste 6-ciogodzinne przyłożenie okładu „Radiumchema“ w ciemni na kliszę fotograficzną, na której znajduje się kilka przedmiotów metalowych i wywołanie kliszy.

Z WICHREM W ZAWODY







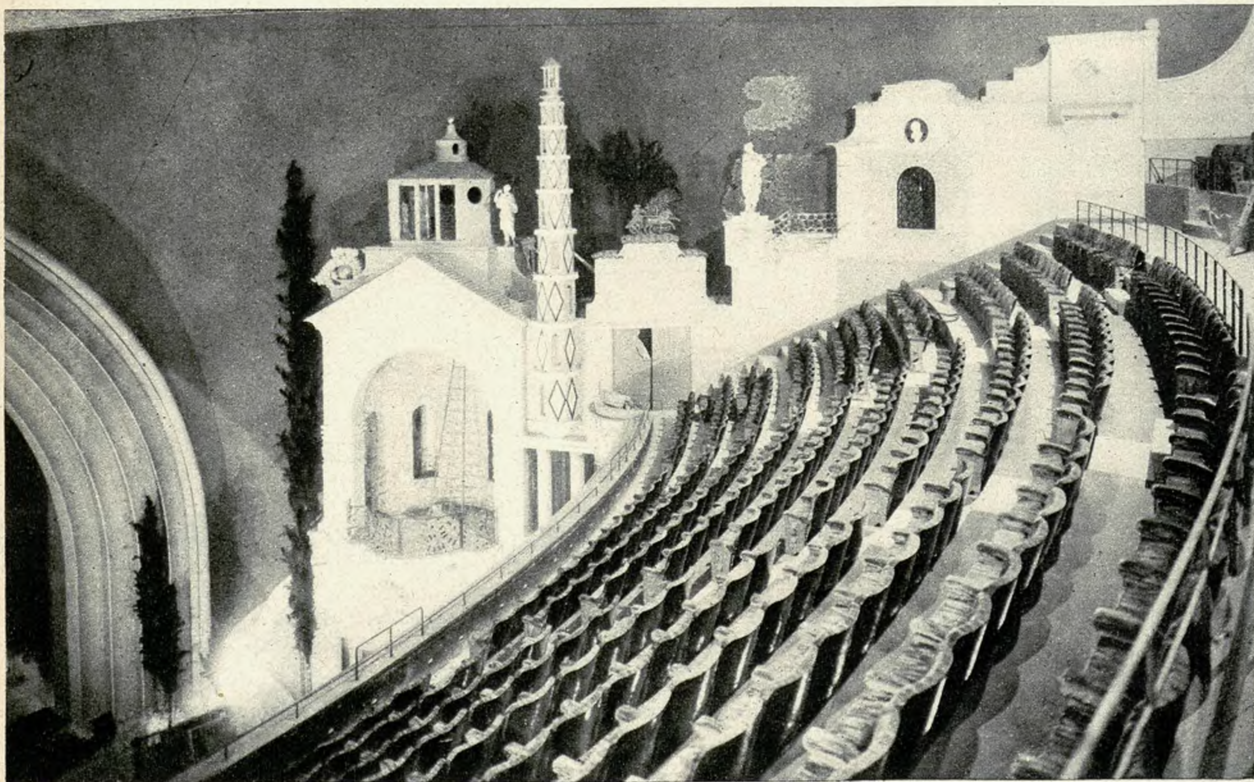
jedna jest tylko o'sullivan..

Maureen O'Sullivan, partnerka Ramona Novarro jest brunetką o smagłej cerze, prawdziwą siostrzycą Dolores del Rio i Lupe Velez, będących wcieleniem urody meksykańskiej. Uroda ta olśniewa i porywa. Maureen O'Sullivan jest jednak nietylko piękna, ona ma przedewszystkiem talent. Kreacje jej w ostatnich filmach wysunęły ją na czoło gwiazd amerykańskich.

Metro Goldwyn Mayer.

DUŻE I MAŁE, NOWE I STARE.

(Oryginalna korespondencja z Paryża).



Fragment sali najnowocześniejszego kina Paryża.

Paryż, w sierpniu.

Po dwóst stronach Wielkich Bulwarów w Paryżu przysiadły dwa kina. Jedno — już bardzo dawno. Nikt z nas nie pamięta dnia jego powstania. Nie pamięta go również i obecny właściciel, bo przedsiębiorstwo często przechodziło z rąk do rąk.

Drugie — powstało dopieroco. Każdy o niem mówi, cytuje fantastyczne szczegóły, powtarza notatki prasy, krytyki, reklamy. Na czele nie stoi jakiś właściciel, lecz wielka wytwórnia, lansująca w ten sposób swe własne filmy.

Pierwsze, choć miejsc posiada zaledwie dwieście, czy trzysta (rekord z roku 1910), jest stale puste. Służba tylko poziewuje z nudów i dziwi się, że sala jeszcze istnieje, bo i poco? Nawet kontroler podatkowy rzadziej tu zagląda... Staromodne afisze nie przyciągną już tu niczyjej uwagi. A zapowiadają one jednak filmy, które do dziś stanowić powinny dla amatora abecadło klasyczne, zawsze ciekawe.

Drugie — choć liczy 4.000 foteli, zawsze pełne: od dziesiątej rano do drugiej w nocy. Cała armja bileterów, kontrolerów, inspektorów, lokai, bufetowych, szatnianych w liberji wystylizowanej, kolorowej, uprzejmie cię oczekuje już na ulicy, u drzwiczek auta i poprzez luksusowe poczekalnie wiezie w windzie na właściwe piętro. Program, który ci wręczają, jest przeźroczysty, byś mógł go czytać w czasie przedstawienia. Ogromny ekran posiada powierzchnię 400 metrów kwadratowych; można tę powierzchnię powiększyć o 200 metrów jeszcze! Scena pomieścić może 100 artystów. Orkiestra (bo to kino, choć nowoczesne, posiada orkiestrę, a nie głośnik) —składa się ze 60 doborowych muzyków, wyjeżdżających z podziemi, wraz z estradą, na wysokość żądaną. Sufit przedstawia niebo; niebo błękitne zastępuje raczej sufit; widz winien zapomnieć, że jest w sali zamkniętej. Niema ścian: zastąpione są one przez wille, domki, meczety, ogrody wiszące; w istocie nie jest to bardzo gustowne... Lecz przypomina naprawdę jakieś miasto fantastyczne raczej, niż boki sali kinowej. Na balkonie pojawiają się od czasu do czasu artyści, baletnice, biorący udział w przedstawieniu scenicznem; bo część baletowa odgrywa pokaźną rolę w tym kinematografie... Tego wymaga konkurencja. Pieniądz pragnie procentować się. Wszystko pomyślane tu jest tak, by dogodzić gościowi. Fotele wygodne, temperatura regulowana, dym papierosów i kurz zostają sprytnie usuwane; 20 wind czeka na przybywających; jest ambulatorjum dla nagłych wypadków, jest pokój dziecinny, w którym można pozostawiać dzieci na czas swej wizyty w kinie, jest nawet specjalna poczekalnia dla psów.

Jakżeż w tych warunkach mizernie i biednie prezentuje się kino sąsiednie, ze swym przedhistorycznym bufecikiem i kątem przeznaczonym na szatnię!...

W kinie starem często aparat psuje się; często jest za duszno, lub za zimno. Kino nowe jest prawdziwą fabryką. Każdy filar, każdy kąt wyzyskany jest na ukryciu jakiejś maszyny, niezbędnej już prawie do życia tego olbrzyma. Dwa piętra podziemi kryją centralę elektryczną, zasilaną prądem z dwóch różnych wytwórni pochodzących, by zawsze pewnym być prądu. Oto motory 900-konne; dla oświetlenia fasady — 300 P. H., dla sceny 750 koni parowych, dla sali — 100. Obok potężne turbiny wentylujące salę, inne pompujące i czyszczące powietrze z ulicy... W innym kącie znajduje się tablica, regulująca automatycznie temperaturę na każdem piętrze, w każdym korytarzu! Są i motory Diesla, mogące w każdej chwili zastąpić prąd z elektrowni miejskiej. Automatyczne aparaty w każdej chwili potrafią zapobiec pożarowi. Sama kabina wygląda też zupełnie inaczej, niż te, które dotąd zwykliśmy widywać — ale zadużo miejsca trzebaby na opis wszystkich tych tajemnic. Gdy grano film, opiewający dżunglę, kilkanaście lwów, małp i innych zwierząt zainstalowano na parterze, w specjalnych klatkach; tłum przystawał, podziwiał, wracał... A gdy wychodził z kina zbyt późno — oczekiwały nań specjalne nocne autobusy.

Publiczność przypływa i odpływa. Armja małych światełek czerwonych i zielonych pracuje tymczasem w podziemiach, sygnalizując automatycznie każdy przejaw życia tej fabryki. Fabryka rozrywkowa... 80 kilometrów drutów elektrycznych stanowi jej nerwy. Ustami tysiąca głośników kino to głosi swą obecność i pełnoletność filmu dźwiękowego. Oczyma setki reflektorów butnie rzuca się w życie Paryża...

Pierwsze kino, stare, małe, przysiadłe na drugiem piętrze wiekowej kamienicy, wstydzi się niemal swej szaty. Drugie, nowe, ogromne, kazało zburzyć dziesiątek domów wielopiętrowych z kinami, by zdobyć dla siebie olbrzymi narożnik.

Duże i małe, nowe i stare, ostatnie i pierwsze kino... Ile refleksyj, uwag, marzeń rozwianych i nawianych. A bywalec starego kina, wychodząc raz z nowego, przystanął przed luksusową klatką z lwami i szepnął:

— To jednak szczegół w tym kinie najładniejszy...

Zygmunt Frenkiel



Bar w paryskiem kinie.

Wiadomości filmowe.

Ze świata.

— Bernard Shaw gwiazdą filmową. — Sensacją Anglji są rozpoczynające się zdjęcia do filmu p. t. „Wygnany Shaw". W filmie tym sam wielki humorysta będzie grał główną rolę. Scenarjusz zawiera podobno niezliczoną ilość komedjowych niespodzianek.

— Nowi kochankowie ekranu. — Bardzo ciekawie zapowiada się film z Joan Crawford i Clarkiem Gablem p. t. „Oczarowanie". Clarke Gable jest znowu w Ameryce na ustach wszystkich, dzięki wspaniałej swojej kreacji w ostatnim filmie p. t. „Zły chłopiec". Partnerką jego w tym obrazie są: Carola Lombard i Doroty Mackoil.

— Clodette Colbert, aktorka francuska, stała się jedną z najwybitniejszych artystek ekranów amerykańskich. Jest to w pełni zasłużona karjera „gdyż artystka ta obdarzona jest istotnie bardzo wybitnym talentem. Ostatni jej obraz to „Księżniczka Nadja", w którym gra z Fredricem Marschem.

— Conrad Veidt po długim sporze pogodził się z brytyjskim Gaumontem i przyjechał już do Anglji, gdzie nakręcać będzie nowy film niesamowity o nieustalonym jeszcze tytule.

— W Indjach angielskich rozpoczynają samodzielną produkcję. W Bombaju nakręcają film muzyczny p. t. „Mirja Saheban". Drugim filmem kręconym z dużym przepychem jest film „Tysiąc i jedna noc". *Al.*

Wzmożona aktywność filmu francuskiego.

— Do filmu „Statek Tanacity", o którym już pisaliśmy, jako o jednym z najciekawiej zapowiadających się obrazów, zaangażował Julien Duvivier następujących artystów: Alberta Préjean, Mary Glory, Huberta Prelier i Jima Geralda. Film ten będzie gotowy na początek sezonu.

— Rajmond Bernard ukończył już zdjęcia do „Nędzników", filmu, o którym pisaliśmy już w poprzednich numerach. Wersje dźwiękowe dawnych filmów niemych wypadają zazwyczaj nieświetnie. „Nędznicy" są podobno wspaniałym wyjątkiem. Na pokazie film wzbudził najwyższe pochwały. Harry Baur, grający rolę Jean Valjeana, stworzył podobno najlepszą ze swych dotychczasowych kreacji.

— Drugą nową dźwiękową wersją dawnego filmu niemego, będzie „Bitwa" w/g. powieści Claude Farrèra (Dawna „Bitwa pod Czuszimą"). Tym razem reżyserem tego wspaniałego, wystawowego filmu będzie Turżański, nowy scenarjusz napisał Bernard Zimmer, a role główne objęli Annabella i Charles Boyer.

— Eryk Charrel, wydalony z Niemiec reżyser filmu „Kongres tańczy", będzie nakręcał „Odysseję". Narazie przebywa jeszcze w Ameryce, gdzie montuje sławną operetkę „Oberża pod białym koniem". *Al.*

Koniec karjery Sylwji Sidney?

Sensacyjna depesza z Nowego Yorku.

Cały amerykański świat filmowy został zaskoczony niespodziewaną wiadomością, że Sylvia Sidney, partnerka Chevaliera w nagrywanym obecnie filmie „Metody miłości", filmu już w Polsce wynajętego, opuściła nagle studjo w czasie gry i nie opowiadając się nikomu, odleciała natychmiast do Nowego Yorku. Amerykańscy dziennikarze, tacy chciwi zawsze sensacji, szczególnie gdy chodzi o skandale filmowe, wysyłali tym razem depesze lakoniczne i nic nie mówiące. Sylvia, ciesząca się w Ameryce ogromną popularnością była na ustach wszystkich.

Dopiero na trzeci dzień wyjaśniła artystka przyczyny powyższej decyzji.

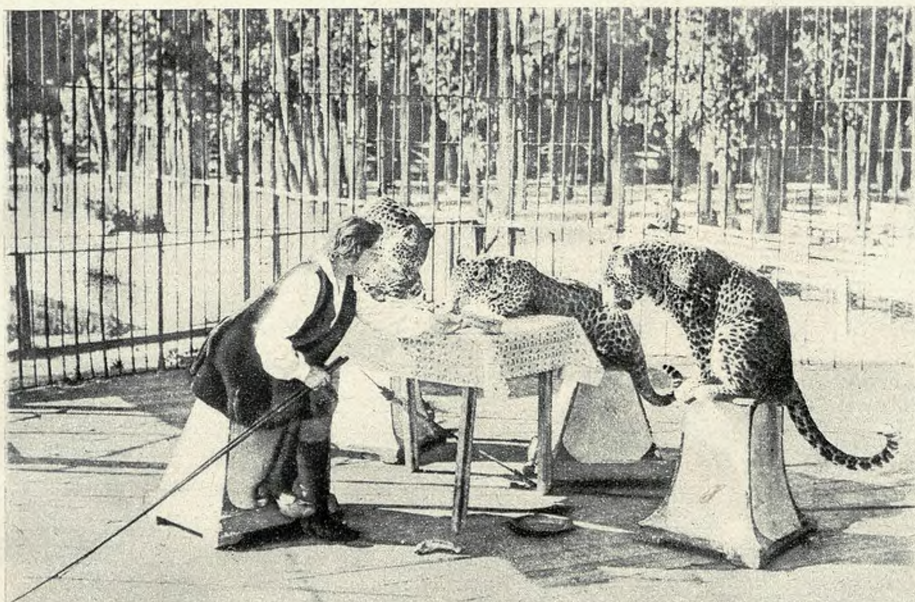
„Poddałam się kilka dni temu operacji gardła. Jestem obecnie bardzo słaba, czuję się zupełnie wyczerpana po każdej rozmowie, nie mogę absolutnie pracować w tych warunkach. Lekarze wytwórni, w której pracuję, ze zrozumiałych względów, nie chcieli mnie uznać chorą, musiałam się zatem zdecydować na wyjazd. W moim kontrakcie nie ma absolutnie żadnej klauzuli, zabraniającej mi chorować na gardło".

Sytuacja moja jest niestety bardzo poważną. Muszę się poddać tutaj nowej, ciężkiej operacji wycięcia gruczołów. Jak mnie zapewniają lekarze, operacja ta pozostawi napewno niezatarte blizny na mojej twarzy. Przypuszczam, że moja karjera filmowa jest skończona".

Wiadomo nam, z jak kolosalną energją i wytrwałością walczyła ta świetna artystka trzy lata temu, aby zdobyć tę wspaniałą pozycję, jaką zdobyła dziś w świecie filmowym. Nie trudno nam zatem zrozumieć, jaką tragedję przeżywa Sylvia Sidney.

Miejmy jednak nadzieję, że sytuacja nie jest tak poważna, jak ją przedstawia ta świetna aktorka i że jeszcze wiele razy będziemy mieli sposobność oglądania ślicznej i wzruszającej twarzyczki bohaterki „Ulic Wielkomiejskich", „Tragedji amerykańskiej", „Madame Butterfly" i „Jennie Gerhardt". *Al.*

CELESTE I LAMPARTY.



Znana pogromczyni dzikich zwierząt Olga Celeste, która nieraz występowała w filmach ze swoimi drapieżnymi pupilkami, obchodziła niedawno 30-letni jubileusz swej pracy na tem polu. Celeste tak się już zżyła z lwami, tygrysami i jaguarami, jakby to byli jej najlepsi przyjaciele. Dzikie te bestje nie robią jej też żadnej krzywdy. Na zdjęciu Celeste, tresująca trzy młode lamparty.

PROSZĘ SIĘ NIE PCHAĆ.



Do San Sebastaian w Hiszpanji przybyła Brygida Helm wraz z całym swym sztabem, aby na tle cudownych tamtejszych krajobrazów nadmorskich nakręcić kilka scen z nowego filmu. Skoro wiadomość o tem doszła do uszu kuracjuszy, pośpieszyli oni gromadnie na miejsce, gdzie dokonywano zdjęć, aby zobaczyć, jak to się dzieje. Wobec naporu tłumów (na zdjęciu) musiano zawezwać policję, która z trudem opanowała sytuację.

HORST WESSEL.



W Niemczech ukończono nakręcanie patrjotycznego filmu p. t. „Horst Wessel", którego bohaterem jest student, który zginął z rąk komunistów za ideały niemiecko-narodowe. W akcję tego filmu wplecione są dzieje hitleryzmu od jego początków aż do przewrotu i objęcia władzy przez Hitlera. W poszczególnych fragmentach filmu brały udział dziesiątki tysięcy statystów i bojówkarzy, którzy odtwarzali ważniejsze momenty z ostatnich lat dziejów Rzeszy. Na zdjęciu specjalnie dla filmu odtworzony marsz nocny szturmowców hitlerowskich w dniu 30 stycznia b. r. przez ulice Berlina.

POLSKI „RIN-TIN-TIN".



(Mig) W „Dziejach Grzechu" Józef Węgrzyn, który gra mocną, charakterystyczną rolę pasera, ma doskonałą scenę z psim gwiazdorem polskiego ekranu dobermanem Tukiem. Ten niezwykle inteligentny i fotogeniczny pies zyskał już sobie nazwę polskiego „Rin-Tin-Tina".

BĘDZIE GRAŁ „CZŁOWIEKA NIEWIDZIALNEGO".



Człowiekiem stu twarzy nazywają go w Ameryce. Jest jednym z czołowych aktorów teatralnych w Stanach Zjednoczonych. Przepadają za nim kobiety. Wszystkie. I te, które lubią słodkiego amanta, i łaknące silnego uścisku cavemana.

Nic w tem dziwnego. W rekordowem tempie potrafi Claude Rains (na zdjęciu), o nim właśnie mowa, zmienić maskę poczciwego młodzieńca na odpychającą, pełną odrazy postać brutala z pod ciemnej gwiazdy.

Dziwny tryb życia wiedzie Claude Rains. Po ukończeniu przedstawień teatralnych zamyka się w domu, rzadko dopuszczając do siebie gości. Dzierży jeden rekord. Rozwiódł się wszystkiego sześć razy. Za każdym szuka innego typu kobiety. Universal zakupił wyłączne prawo filmowania powieści znakomitego twórcy niesamowitości Wellsa, p. t. „Niewidzialny człowiek". Szukano interpretatora roli głównej. Projektowano Karloffa. W tym samym czasie wytwórnia została wprost zasypana listami, których autorzy domagali się powierzenia głównej roli Claude Rains'owi. Reżyser James Whale, twórca „Frankensteina", postanowił rozpocząć polowanie, zwłaszcza, że już dawno nosił się z myślą skaptowania tego wielkiego talentu aktorskiego. Coraz to jednak piętrzyły się inne przeszkody. Najgorzej było z dostępem do wielkiego artysty. Wreszcie, za wybitną pomocą, siódmej żony Rainsa, reżyser Whale znalazł się w niedostępnym sezamie Claude'a. Natychmiast przypuścił atak.

— Czytał pan pewno „Niewidzialnego człowieka" Wellsa? — zagadnął niespodzianie reżyser.

— Tak, cudowna rzecz — odpowiedział Rains — nie podejrzewając żadnego podstępu. — Przyznam się panu, że marzę o odegraniu roli bohatera powieści na deskach teatralnych.

— Odegra pan tę rolę, ale na filmie — stanowczo oświadczył Whale.

Dwaj mężczyźni spojrzeli na siebie.

Na nic nie zdały się wykręty artysty; James Whale nalegał tak długo i tak przekonywująco, że Rains musiał wkońcu ulec... i podpisać kontrakt na dwa nawet dalsze filmy.

Rein.

Film huculski

Feliks Żukowski (na zdjęciu) debiutuje w filmie „Przybłęda“.



Zbigniew Staniewicz (na zdjęciu) gra jedną z głównych ról.



Orszak huculski.

„PRZYBŁĘDA“.

(Rein) W tych dniach powróciła z Huculszczyzny ekspedycja filmowa, która nakręcała w tym pięknym zakątku Polski, pod kierunkiem reżysera Nowiny Przybylskiego film p. t. „Przybłęda“.

Treść tego filmu zaczerpnięta jest z życia wsi huculskiej i przedstawia dzieje przybłędy Marylki. Nielubiana było ona we wsi, ponieważ odznaczała się wybitną urodą, którą podniecała mężczyzn i budziła zazdrość u kobiet. Rolę tej „przybłędy“ odtwarza Ina Benita. Kocha się w niej bogaty gospodarz Dmetro, przybłęda jednak nie darzy go sercem. Zakochuje się dopiero we włóczędze Jurze.

Scenarjusz ten wyszedł z pod pióra Marcelego Tarnowskiego. W głównych rolach występują Jaga Boryta, Zbigniew Staniewicz i Stanisław Chmielewski. Akcja rozgrywa się kolejno w Jaremczu, Worochcie, Zaleszczykach, a przedewszystkiem nad Czeremoszem. Realizatorowie filmu starali się jak najbardziej wyzyskać naturalne piękno tych egzotycznych okolic i huculski folklor, rozumiejąc, że są to walory, które filmom polskim nadają odrębne specyficzne walory, któremi można zaimponować nawet zagranicy.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA „MUZA-FILM“ — WARSZAWA.



Annabella we filmie „14 lipca“.

ANNABELLA.

W dawnych, dawnych, t. zw. przedwojennych czasach, aby zostać aktorką, trzeba było przejść cały szereg ciężkich etapów żmudnej pracy i dotkliwych nieraz wyrzeczeń. Dzisiaj stosunki zmieniły się nieco, prawdziwy talent aktorski wybija się stosunkowo łatwiej, ale i teraz bardzo wiele zależy od szczęścia. Niewiele pomagają adeptom i adeptkom niezliczone konkursy piękności, fotogeniczności, najpiękniejszych nóg, oczu, zębów itd. Najczęściej jedynym rezultatem tych konkursów jest kilka fotografij w pismach, dobry zarobek organizatorów i czasami jeszcze dobre wyjście za mąż laureatki.

Zdarza się jednak, że konkurs taki ma inny rezultat, że dzięki niemu wydobędzie się na powierzchnię szczery talent, któremu konkurs taki otwiera drogę do karjery. (Tylko my w Polsce nie mamy do tych laureatów szczęścia). — Jednym z najbardziej udanych „połowów“ tego rodzaju konkursów było wyłowienie Annabelli. Skromna paryska midinetka na słynnym balu midinetek została wybrana królową Paryża. Od tej chwili karjera jej była przesądzona. Inteligentni reżyserzy paryscy z miejsca potrafili ocenić, jak ciekawa postać ukazała się na widowni. Subtelna twarzyczka Annabelli o nienormalnie wielkich oczach, pełnych blasku i wyrazu, zachwyciła wszystkich. Zaangażowano ją do małej rólki w jednym filmie i okazało się, że w tej skromnej midinetce tkwi szczery talent, który też żywym zabłysnął płomieniem.

Raz jeden tylko grała Annabella mniejszą rolę, po krótkim czasie dostała się do rąk Rene Clairea i zagrała główną rolę w jego filmie „Miljon“. Kreacja jej w tym obrazie postawiła ją w rzędzie najlepszych artystek francuskich i od tej chwili posiada już stale engagement, nie ustając w pracy. Nakręciła już cały szereg filmów, między innemi „Obławę w Paryżu“ i film produkcji węgiersko-francuskiej „Historja Miłości“. Przy nakręcaniu tego filmu miała wypadek samochodowy, który spowodował na jakiś czas przerwę w pracy. Ostatnim wreszcie jej obrazem jest „Miłość w aucie“.

Annabella przedstawia najbardziej chyba wyrazisty typ Paryżanki. Obdarzona jest talentem o bardzo dużej skali, a jeszcze większym osobistym ujmującym wdziękiem. Gdy pokaże twarzyczkę swą zasmuconą z załzawionemi ogromnemi oczyma, chwyta za serce każdego. Jest to niewątpliwie talent, którego wszystkich możliwości nie można jeszcze przewidzieć.

List otwarty do Douglasa Fairbanksa i Mary Pickford.

Znajomość nasza jest całkowicie jednostronną, to znaczy, ja was znam bardzo dobrze, a wy mnie nieco mniej, ale pozwolono mi mimo to na powiedzenie wam kilku słów. — Kończycie obecnie pierwszy, ostatni i jedyny film, w którym graliście razem — film waszego życia. Rozwodzicie się. Jutro z pięknego filmu waszej miłości, który przez trzynaście lat budził zainteresowanie wszystkich, pozostanie jedynie melancholijne wspomnienie.

Myślałem, Mary i ty, Douglasie, że wy napewno nie pójdziecie w ślady tamtych hollywoodzkich szaleńców, że wasz jedyny wspólny film tylko śmierć może mieć na zakończenie. Jednak widocznie bardzo trudno jest ustrzec się przed tamtejszym obłędem, kiedy nawet tej miary artyści, co wy, tak banalnie i niemiło swój film kończycie.

A pięknym był ten film, którego nie widzieliśmy nigdy. Nie występowaliście nigdy razem, ale oglądaliśmy tysiące waszych fotografij, fotografowano was ze specjalną lubością, a zawsze — Mary patrząca na Douglasa — Mary w objęciach Douglasa — Mary z psem i Douglas za nimi, Mary na kolanach Douglasa — zawsze uśmiechnięci (jak pełen czaru był Twój uśmiech, Mary) zawsze szczęśliwi, tysiącem scen z cudownego filmu, którego nie mieliśmy nigdy zobaczyć.

Lata mijały dla was bez śladu. Ty, Mary, byłaś zawsze podlotkiem, twój wielki mąż zawsze świetnie zbudowanym młodzieńcem. Rozwodził się Chaplin, rozwodził Chewalier, wy byliście wzorem wiernej miłości, byliście przykładem. Żadnego skandalu, żadnej plotki — ulubieńcy bogów — pokazywano was palcami. Okazuje się, że za bardzo, zanadto usilnie zapewniano nas o waszem szczęściu. Dziś strąciliście się sami z piedestału. Jutro Douglas ożeni się może z jakimś podlotkiem, ty Mary weźmiesz sobie kochanka — czy wam nie szkoda pięknej legendy? Dlaczego nie umieliście tak dobrze grać w waszym wspólnym filmie, jak graliście we wszystkich innych?

Pamiętam ciebie, Douglasie, we wszystkich twoich rolach. Nikt nie umiał się śmiać tak, jak ty. Z twojego szerokiego szczerego śmiechu biła niezmierzona radość życia, ogromna pogoda wewnętrzna i szalona pewność siebie. Czy potrafisz jeszcze tak śmiać się serdecznie?

Przyznajmy otwarcie, że ten śmiech był twoim najważniejszym atutem aktorskim. Ten śmiech i wspaniałość ruchu twojego. Poruszałeś się jak młody dziki zwierz, w każdym mięśniu twoim napiętą była energja. Pamiętam cię jako „Czarnego Pirata“ z dwiema szablami w rękach, jako „d'Artagnana w „Trzech Muszkieterach“, jako „Człowieka z biczem“, jako zbójnika z „Miasta Cudów“, jako „Robin Hooda“ i w wielu jeszcze innych, świetnych twoich kreacjach. Nosiłeś stroje wszystkich epok, wszystkich czasów, a nosiłeś je tak, jakbyś nie nosił nigdy innych, jakbyś się w nich urodził i chodził w nich przez całe życie. A nawet jeśli strojem twoim była tylko przepaska na biodrach, to wydawało się, żeś nigdy nie miał ubrania na sobie. I śmiałeś się, śmiałeś się najlepiej na świecie.



Douglas Fairbanks i Mary Pickford rozwodzą się.

Nie dziwię się, że Mary cię kochała — ale nie dziwię się też tobie, bo i ją pamiętam.

Pamiętam cię, „słodka dziewczynko“, zawsze skromną, pozbawioną wszelkiej afektacji, a rozsiewającą tyle czaru i uroku wokół siebie. Stałaś przez wiele lat na najwyższym szczeblu sławy, prawie przez piętnaście lat była na ustach wszystkich, samo nazwisko twoje na afiszu wystarczyło, by ściągać nieprzeliczone tłumy do kin całego świata. Słusznie cię nazywano „słoneczkiem ekranów“, bo byłaś wtenczas najbardziej uroczem zjawiskiem filmowem. Swoją śliczną niewinną buzią wzruszałaś nas niejednokrotnie do łez. Kilka już lat minęło od tego czasu. Pewnie, że dziś nie jesteś już taką samą, twoje włosy są jeszcze złociste, ale nie mają już połysku, twoje oczy nie mają już młodzieńczego blasku, twoja twarzyczka jest już zniszczoną wieloma tysiącami masaży i wieloma tysiącami pudełek najrozmaitszych kremów, a i ty sama, choć nie chcesz się do tego przyznać, jesteś już zmęczoną. Trudno, pracowałaś w teatrze i we filmie od piątego roku życia — rozumiem, że ciężko jest wycofać się teraz z tej pracy ale to konieczne. My zato zapamiętamy ci „Małego Lorda“, zapamiętamy „Serce“ i „Wróbelki“ a zapomnimy ostatnie „Kiki“ i nawet nie będziemy o tem wspominali.

Tak, Mary i Douglasie, odchodzicie każdy w inną stronę kończąc w ten sposób swój jedyny film. Zawiedliście mnie, nie spodziewałem się tak pospolitego zakończenia. Gdybym mógł być cenzorem tego filmu, to na nasz europejski użytek odciąłbym cały ten koniec i zakończyłbym w miejscu, w którem — „Mary uśmiecha się do Douglasa“.

LIL DAGOWER POD ZNAKIEM SWASTYKI.



Kto chce w Niemczech żyć, ten musi udawać entuzjastę nowego hitlerowskiego reżimu. W przeciwnym bowiem razie usuwa się go poza nawias społeczeństwa i skazuje na śmierć głodową. Nic więc dziwnego, że prawie wszyscy artyści, zarówno sceniczni, jak i filmowi, oddali się w służbę szefa propagandy ministra Goebbelsa, który postanowił sztukę niemiecką „odżydzić" i poprowadzić ją na nowe tory. Na zdjęciu Lil Dagover, sprzedająca losy loterji państwowej, z której dochód przeznaczony jest na uruchomienie robót publicznych.

DOOKOŁA „BUTÓW".



W swoim czasie podaliśmy wiadomość o nakręcaniu nowego polskiego filmu w Paryżu p. t. „Buty w marszu", osnutego na tle znanego wiersza Kiplinga. Reżyserem tego filmu, którego treścią są przeżycia wojenne jest Gabryelski. Główną rolę odtwarza Inka Krymerówna. Obecnie reprodukujemy fotografję, przedstawiającą głównych wykonawców tego filmu i przedstawicieli paryskiej prasy w studio „Eclair". W pośrodku stoją p. Wilck'e, architekt, obok Krymerówna, siedzą pierwszy od lewej: Gabryelski, reżyser, Toporkof operator, Tłomakowski asystent.

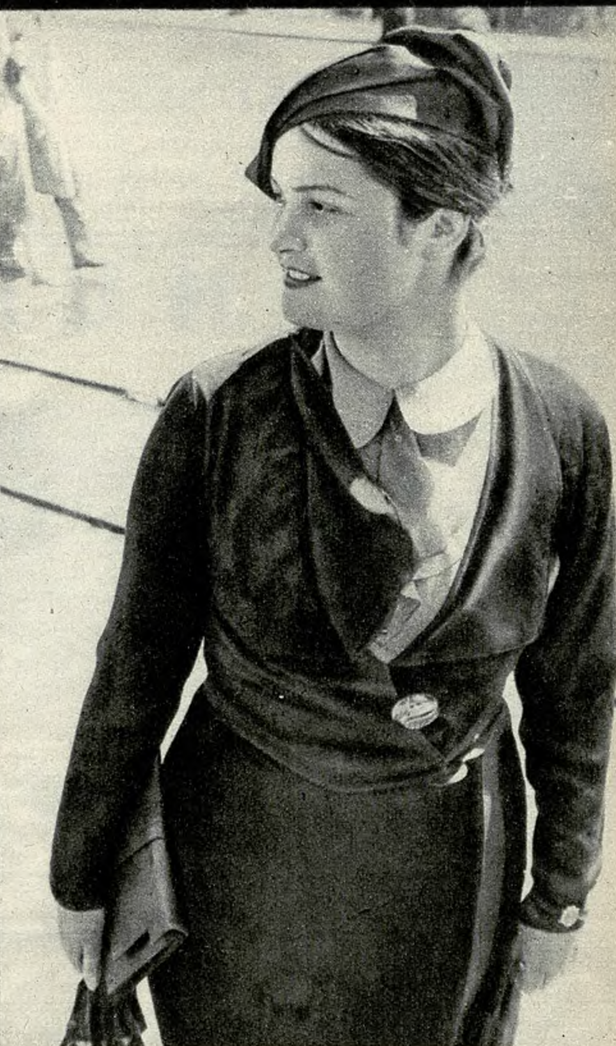


PRZESĄD I MASKOTA.



Artyści są przeważnie bardzo przesądni. Otaczają się więc, jak ludzie pierwotni fetyszami i maskotami, które mają przynosić im szczęście i strzec ich od niepowodzeń. Maskotami temi są najrozmaitsze przedmioty, począwszy od amuletów, muszli, zasuszonych kwiatów, porcelanowych słoni, złotych monet, pukli włosów a skończywszy na sworzeniach żywych, jak psy, koty, ptaki a nawet owady. Na zdjęciu Marion Burns ze swą maskotą-małpką Baby, przywiezioną z wyprawy filmowej z wysp Malajskich.

I SOWIETY KAPITULUJĄ.



Dotychczas w filmach sowieckich nie było gwiazd. Reżyserzy tępili je, uważając, że powinny grać bezimienne masy, jacyś bezimienni żołnierze filmu. Wola publiczności okazała się jednak silniejszą od doktryny. Zatęskniła ona za gwiazdami. I oto przed wolą tej publiczności musieli skapitulować reżyserzy. Obecnie w przygotowaniu są filmy sowieckie, w których po raz pierwszy ukażą się gwiazdy. Jedną z nich jest Emma Zerskaja (na zdjęciu). Nie odznacza się ona wybitną urodą, ubrana jest fatalnie, ale może ma talent. Zobaczymy.

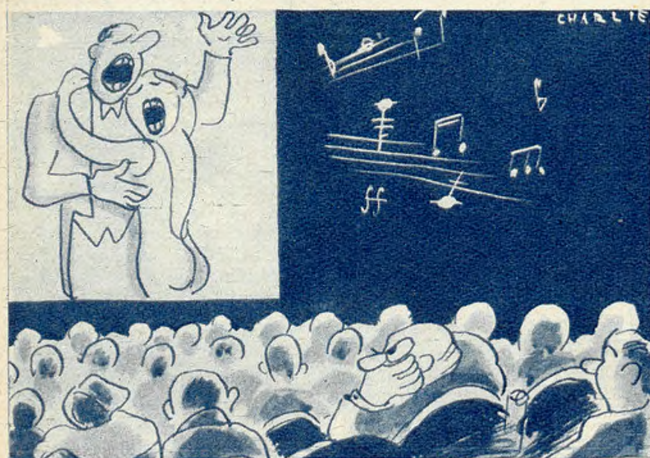


SŁODKI SZPIEG.

Niezrównana nasza pieśniarka Hanka Ordonówna ukończyła nakręcanie filmu p. t. „Szpieg w masce“, w którym kreuje główną rolę. Partnerem jej jest nowy amant Jerzy Jur Pichelski. Scenarjusz napisał Miarczyński. Na zdjęciu Ordonka i Pichelski w jednej ze scen nowego filmu.

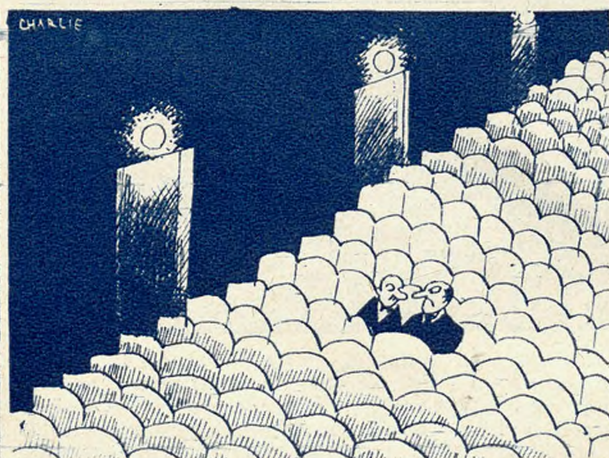
HUMOR.

Wróg dźwiękowca.



— Djabli nadali te dźwiękowce! Nawet się już w kinie przespać nie można!...

Sezon letni w kinie.



— Marnie grają ci aktorzy...
— Dla dwuch osób mają się wysilać?!

OSZCZĘDNY JURECZEK.

Mama: — Musimy teraz bardzo oszczędzać. Ojciec przyrzekł nie palić i nie pić piwa, ja przestanę jeść wszelkie słodycze... No, a ty, Jureczku, w jaki sposób zechcesz oszczędzać?

Jureczek: — Ja mogę przestać chodzić do szkoły.

KRAJ ZBIEGŁYCH KASJERÓW.

Mały Izydorek, przeczytawszy, że Kolumb pierwszy odkrył Amerykę, zapytuje tatę:

— Tateleben! czy ten Kolumb to buł także kasjer?